

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1158. Ars longa [hasło konkursowe] Dwie. Dramat współczesny w 5 aktach [przesłany na konkurs dramatyczny Wydziału Krajowego we Lwowie].

*STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE*

Godło: Ars longa.

Zeszyt

Lw. 87987/99

Львівська бібліотека  
АН УРСР

ВІДДІЛ РУКОПИСІВ

Бав. 1158

40.

Konkurs dramat. pol.

"Dwie."

Dramat współczesny

w pięciu aktach.

V 932

1.158



Osoby:

Profesor Kaszubski

Zofia, jego żona.

- Emilia }  
Ludwik } ich dzieci

- Stanisław Gorycki, malarz

Górski

Barkowski

Cieciński

Wótek

Derski

} znajomi i przyjaciele  
Goryckiego

- Julia

D<sup>r</sup> Miński

Janek, stwizęcy Goryckiego

Maryanna, stwizęca

Dwaj stwizęcy.

## Akt I.

Dom panstwa Kaszubskich.

Pokój gustownieumeblowany; foteliana, biurko, sofa  
na książki. Drzwi naprzeciw mezy, drugie z boku.

Profesor Kaszubski przegląda kilka książek — po chwili  
wchodzi doktor Miński.

Miński: Klęga miżony, pana profesora!

Prof.: Dzień dobry, Dzień dobry panu! (ścisła mu rękę.) Jak  
się pan ma? Dobrze, że pan przychodzi, bo mam  
do pana mówić.

Miński: Do mnie?

Prof.: A jakże. Pańska sprawa... pewnie pan do niej też  
przychodzi?

Miński: Zostanie, jestem niewytkle ciekaw, jak daleko pan  
profesor swoim wpływem parzył pomysł moją sprawę.

Prof.: Wszystko idzie dobrze, zupełnie według naszego pę-  
wienia. Prawie, że mogę panu pogratulować!

Miński: Czy mogę wierzyć temu, co słyszę? Miałby pan to  
brodziej...?

Prof: Trochę wrytko, co potrzebne i w najbliższych  
dniach może się pan spodziewać nominacji.

Miński: Jakże mam wyrazić swoją wdzięczność za tyle do-  
wodów łaski, tyle przychylności! Doprawdy nie wiem...  
Marzenie mego życia tak bliskie spełnienia!...

Prof: (śmiejąc się) No, no, nie przesadzaj mi, mój  
kochany doktorze. Co problem, i co, da Bóg, jeszcze  
probie dla ciebie dyktuje mi jedynie miłość, jaka się  
wzięła <sup>z</sup> ~~z~~ <sup>ku</sup> Tobie. Postaraj mi się pan prawie bardzo,  
formatem pańskiej wdolności i praca i przekonaniem  
się, że one godne takiej nagrody.

Miński: Pan profesor przekroczył me wdolności... pan profes-  
sor był łaskaw dla mnie. Nie wiem, czemu mam  
przeypisać to niewytknięte dobro!

Prof: Jestem przekonany, że odpowiesz pan w zupełności

nauczaniu i obowiązku docenta i jeśli się tylko nadarzy  
 sposobność, postaramy się, żebyś pan wyszedł także  
 profesurę. No, ale na razie musimy się temu rado-  
 wolnie, to pierwszy szczebel do stawy.

Miński: (zapatem) O, bądź się pośrednikiem między starym sta-  
 rakiem, że może zastąpić na taki wysoła godność!

Prof: Pewny tego jestem, znaję swój talent, doktorze i twoją  
 się woli.

Miński: Jak się uciery moja matka, gdy się o tem dowie!  
 To jej sprawi niewymowną radość.

Prof: Moja rodzina również bardzo ucieszy pańskie orzeczenie.  
 My wszyscy interesujemy się twoim losem i podczuwamy.

Miński: He dobroci, ile słodyczy!

Prof: Wiesz, mój kochany, ja gotuję dla ciebie jeszcze jedną  
 niespodziankę.

Miński: Niespodziankę?

Prof: No, niechaw jestem przy szadnich.

Miński: Doprawdy niewiem, co myślisz. Tyle pan profesor  
począł dla mnie próbować i to jeszcze nie byłoby wystar-  
kiem?

Prof: Nie lekaj się synu, niespodzianka wcale miła i pe-  
wien jestem, że się niecierpisz.

Miński: Wcale nie wątpię o tym, ale...

Prof: No pogadnij!

Miński: (wahając się) Nie wiem, nie wiem, w którym kie-  
punktu szukać. Jedno tylko miałbym jeszcze ma-  
reć, ale... ale o tym nawet myślisz nie mogę.

Prof: No, adaje się, że jesteś na dobrej drodze.

Miński: Czy byś może!

Prof: Nie chciałbyś postać moim pićciem?

Miński: (wzruszony) Najdroższy panie! (pruca się ku jego  
ramionom i odkrywa je pocałunkami)

Prof: Prawda, że o tym marzyłeś?

Miński: Istotnie... ale... ja nie mogę pojąć... Tyle serdeczności,

byle marzeń spełnionych w jednej chwili!...

Prof: No, jeszcze nie spełnione, nie przesądzajmy sprawy. Jest mojem serdecznem życzeniem zobaczyć cię mgłą mojej Miłki, ale do tego jeszcze droga dwoi' daleka. Zważaj się dotąd, o te wiem, bardzo mało, więc powinności z twojej strony wszelkich dołoży starani, żeby się między wami wywiązała piękna paryl-łosi, żeby cię polubiła tak, jak ja - bo nie chciałbym z nią mieć trudności.

Miński: Nie mam wypracoi' dla tej dobroci jakie sposobki. Nie wiem co odpowiedzieć oszłomionemu sergicium, które wypiąga do mnie ramienia. Trochę wryptko, moją dobrodziejną łaskawy, wryptko, co tylko pa-rypsz porzucasz.

Prof: A więc postuchaj mojej rady, mój kochany i sta-raj się jak najwięcej z Miłką formawiać, odgadaj jej zapatrywania, życzenia, podobnie jak jej ile wino-



si, a mam nadzieję, że niedługo po twojej nominacji na docenta, będziemy mogli ratować się z za-  
prętnianiami

Miński: Jaki pan dobry!

Prof: O tem nie mówmy. Tęła mnie będzie przepięknie, skoro będę się mógł narwać swoim synom. Co do Cwikli, muszę ci powrócić uwagę, że to Drewny na bardzo wrażliwa i powinieneś się do niej zabrać ostrożnie i porumnie... no i naturalnie mi prze-  
dziej, tem lepiej, bo szkoda czasu. Może ci nawet już teraz przyjdzie a będziesz miał sposobności powi-  
zać je nie ścisłej racjonalności.

Miński: Teraz?.. w tej chwili?.. ledwie się potrafię opa-  
nować, tak jestem wzruszony.

Prof: Tem lepiej, kobiety takie rzeczy lubią. Zostan do-  
które chwilkę sam, ja ci już tu przyjdę.

Miński: (chce coś powiedzieć, profesor wychodzi - pauza. Po

chwili porpramienuj, petyloscu! Docentura!...

Quintia!... Profesura!... (chodki pżywa ju pokojny)

Quintia (wchodki, zdziwiona): To pan, panie doktorze? Dzieni  
dobry!

Miński (zaskoczony): Prowadzę do moich panii! Pani była tak  
sobra i powzyła się tu posatygowai.

Quintia: Tylko mi powiedział, że mają tu kogoś przepetnio-  
nego najwyzszem przepicim, przybicztam więc, aże  
by poruai tego wybrania meba i dowiedzieć się,  
co jest przeryną jego radoci.

Miński: Wził tylko panii mi powiedział?

Quintia: Nie a mi. Ale, że mi przesadzał określając osobę,  
widzę z paniskiej porpramienuj twary. Cie-  
kawam, jaki być może powót...

Miński: Porwól sobie panii ratem powiedzieć, że z Taski  
sobrego ojca panii wkrótce strzymam pomnia-  
cze na docenta.



Eustia (zost. śmiejąc): Tak? To naprawdę musi być sergicja  
Hł. pana. Gratuluje, gratuluje!

Miński: Serdecne dzięki. Panu niema pojścia, jak drogi  
mi są przybrane słowa z ust pani! Więcej mi wyje  
kolwask.

Eustia: Pan pewnie potem będzie się starał Ter o... profesurę?

Miński: Jeśli sergicja będzie sprzyjała - naturalnie.

Eustia: Przed panem staje stworzen najwyjższ godności.  
Będzie pan teraz kolega mojego ojca.

Miński: Z jego łaski. On tak sobie Hł. mnie, jak gdyby  
był jego synem.

Eustia: Mnie dziwnego. Własny syn powiódł jego nadzieję,  
pragnie więc pana, którego uważa godnym, wzy-  
wać następcą na katedrę.

Miński: Być może - i to mi + wielka jaksytkości sprawa, bo  
nie było mu mógł nawet dać tego sergicja, jak  
go doruaje ojciec na widok odrzucenia swego syna.

Emilia: Bądź pan z tego powodu spokojny. On jest stary i wręci-  
 sy, że może sta pana coś wrynie. Czy paniska podzi-  
 ma już wie o wrythnem?

Młodzi: Wcale że nie. Ja sam właśnie dowiedziatem się  
 dopiero co.

Emilia: To pana nie boli niecierpliwosci' domiesi' jej o tem  
 jak najprędzej?

Młodzi: Towarzem, owszem, ale pragnatem, żeby panis była  
 pewniejs, żeby od panis najpierw usłyszei' kilka  
 wyprawoi' przyklytych.

Emilia: Skoro je pan już usłyszał, nie porostaje pa-  
 nu mi chyba pilniejszego, jak...

Młodzi: Tak, tak, ma panis słusności, pobiedz' csem.  
 prędzej (oglyda się za kapclusem)

Ludwik (wchodzi) Alci (za drzwiami) Alci, mój kochany,  
 o tej porze nicma nikogo w salonie! (wchodzi sta-  
 nislaw i Ludwik; pierwszy zatrzymuje się raktopo.

Stan.)

Stan.: A widzisz, nie mówitem! (do Eustii) Przepraszam  
panią bardzo, niechego spadliśmy tu... (cofa się)

Ludwik: Gdzie mieszka? Nie wielka rodzina. A i doktor  
tu? Jak się pan ma, panie Miński? (wita się).

Eustia: (cicho, serdecznie) Witam pana, panie Stanisławie.  
(ciszej) Naprawdę paniska bardzo mi na ręce.

Stan.: Jak to? Widzę, że panie w towarzystwie.

Eustia: Niemustem. Chodzi pan przedstawić panu doktora.  
(przerękuje) Pan doktor Miński, pan Stanisław  
Gorycki, malarek.

Miński (podając rękę Stan.) Zwaję mi się, że miatem już  
przyjemności.

Ludwik: Ale panie się panowie, sam was przedstawiłem  
wrazem.

Stan.: Byłi more, byłi more.

Miński: Jestli się nie myle, widziatem niedawno obrar

paniski na wystawie.

Ludw. Dreiweryus maga, prawda, i innego Antoniego?

Miński: Nie przypominam sobie dokładnie, co to było. Widać

tylu obrazów trudno się porycentrować.

Ludwik: <sup>(z rozpaczą)</sup> Być może, ale takich, jak Flanka, nie zapomina się nigdy. Wystarczy je parę tylko widzieć!

Miński: Gdybym widział, że takie piękne, starałbym się je wbić w pamięć.

Ludwik: One się same wtracają w oczy, jedynę, które w ogóle warto oglądać na przystajęcej wystawie.

Miński: Doprawdy? Flanki talentem przewyższają? Nie omieszkałam się im przypisać bliżej zwłaszcza, że znam Perar także ich twórcę.

Stau: Ludwik przesadza. Nie uważajcież pan w nich ani połowy tego, co znam o nich mówić.

Miński: Ale ja się znam na sztuce.

Stan: Nie myślę temu poszyci. Chciałem tylko powie-  
dzieć, że obrary te nie mają wielkich palet.

Eustia: Pańska skromność wcale nie ma miejsca, pański  
Stanisławie. Niech świat wie, ile pan wart i jak  
wysoko winien pana mieć.

Stan: Ależ panno Eustio, panu mi nie powstydzę!..

Eustia: Raczej panu mi. Czy pan nie wie, że ja naj-  
więcej rytkuję, skoro się mogę poszczycić przyjariną  
takiego, jak pan, cioteczka?

Ludwik: Brawo Mitka, masz pracę! — A teraz wynos się  
do innego pokoju, bo chciałbym o praniu pouczyć  
po Starkiem.

Stan: (prętko słońce) Ludwiku, jak mówisz!

Eustia: (śmiejąc się): Przyzwyczajonaam do tego.

Ludwik: Mi sobie z tego nie robi, Mitka sobie też mi nie robi.  
Pracier wobec siostry nie potrzebuje się kłopotować.

Stan: Ależ choćby Jerry ludzian!

Ludwik: Ty się do nich chyba nie licysz, a doktor... doktor  
przebaczył, nieścisłości, prawda?

Muśki: Ale moi panowie, ja wam nie będę przeszkadzał.  
Właśnie miotem pojeździć, kiedyś panowie  
nadeszli. Padam do waszych panów! (regia się  
bardzo przeprosił Eustia, potem z innymi - wycho-  
dzi)

Eustia: Skoro mi nie wyprowadzi to i ja pojeżdżę. (chodzi ku  
drugim drzwiom - zatrzymuje się; do Stanisława).  
Czy pan tu stęgo będzie, panie Stanisławie?

Stan: (waha się) Ja panu niewiem... może... ale jest pan  
tego pragnie, raczekam chwile...

Ludwik: Przeświadczyć się do licha, potem się do syta na-  
gadacie, ja nie jwię panostawiam.

Eustia (głowi bratu partobliwie polecam i wychodzi,  
Stanisław za nią przesiąga, z lekkim pewnym  
spogląda).



Ludwik: No chwata Bogu, że jesteśmy już sami! Słuchajże  
 par, że ci przez całą opowieść. (Stanis. patrzy dalej  
 w drzwi) No, siadażcie tu, do dyabła i nie gap się za mią!

Stanis: (siadając powoli) Słucham już, słucham, co mi masz  
 powiedzieć?

Ludwik: Otóż muszę ci opowiedzieć jak: gdzie ja, porwałem...

Stanis: Kogo?

Ludwik (niecierpliwie) No dowiesz się zaraz kogo, bądźcie u licha  
 trochę cierpliwy!

Stanis: Znów jakaś drzeworyna? A daje mi święty spo-  
 kój z tem! Tyle się już nastuchatem od siebie po-  
 dobnych historii....

Ludwik: Głupi jesteś! To zupełnie w innym guście, powia-  
 dam ci, coś niewyjątkowego.

Stanis: To się porumie. Zawrze to samo w końcu prądziłoby  
 się

Ludwik (gniewnie) Słuchaj już głębiej par, bo ta sprawa i ciebie

trochę obchodzi!

Stan: Przewidywany, Mnie? ... ciekawe doprawdy...

Ludwik: No, Bogu dzięki, że już ciekawe! Otóż słuchaj! Wszedłem wczoraj wieczorem wracając z kilku facetami z ofensy, tak... more około dziesiątej godziny, bo nam się trochę zmieszkało. Ja miałem jeszcze jedną schadzko, więc poszedłem jeszcze w stronę i idę sobie plantażami na przeczono więcej. Wtem patrz... widzę na dworku jakiegoś drzewiarza! ... nie było nikogo w pobliżu, więc podchodzę i widzę - wspaniała drzewiarza! Powiadam ci, że spotkałem jeszcze nigdy nic tak pięknego! Oglądam się, siadam przy niej i myślę sobie: mi się da się tu, chłopcy, co probie!

Stan: Tyś zawsze sobą.

Ludwik: Czego chcesz? Trzymam się zasady indywidualności, której i ty hołdujesz.

Stan: Baje, baje. Wciąż już co dalej. Narzuca ci...



reuder-vous, albo i nawet data swój adres. Nie tak?..  
 Nie było doprawdy poco miie si tu sprowadzai, ie  
 by mi to opowiedziei. (chce wstai)

Ludwik (za trzy miny go). Powiadam ci jeszcze raz, iei gtupe  
 domyslnosci nie masz ani po gros. Nie tylko mi  
 nie nie naruaczyto, ale odpowiedziata mi tak  
 inteligentnie a tak przytem jakos, swiezo, iem  
 joprostu pgtupiat.

Stanis: Dostatei kosza i przychodzia sie wialie przedemuz?  
 Cis dalej?

Ludwik: Naturalnie, ze i ja musiatem porozganie z miu, mo:  
 wie i w toku rozmowy dowiedziatem sie, ze pocho:  
 dzi z prowincyi, uciekla z domu wcale ramosie:  
 go z ramutowania dla sztuki, no i przybywszy  
 do naszego miasta, zawiedziono w swych nadzie:  
 jach i planach, jak to zwykle bywa, blaska sie  
 przeparcowu i szuka, Bóg wie, czyjego ramutowania.

Stanis: (powoli) Wiesz co? Przypodri mi na myśl, że mógłbyś jej zaproponować, by mi postawiła za modelkę do mojej Lady. Przekam już tak dawno...

Ludwik: Masz go, a to paradny facet! Ja sobie natychmiast to przypomniałem i...

Stanis: Zaproponowales'?

Ludwik: Naturalnie!

Stanis: Tęci? zgodziła się?

Ludwik: Nie masz pojęcia, jak mi serdecznie dziękowała, ledwie się mógł obronić.

Stanis: No, to procrzysicie mi ple probites! Ale czy tyłko tatnia?

Ludwik: Hucnia! przechycajaca!

Stanis: To dobrze. Dziękuj i, wybawtes' mnie z przykre-go kłopotu.

Ludwik (z uśmiechem) Nie myśl tyłko, czemu to uczynił bez-  
interesownie. U ciebie było miad' świetna sposobność

widywania się z nią.

Stanis (z uśmiechem) No, no, kto wie czy ja się zgodzę na to.  
Modelkę mam dla siebie, nie dla drugich.

Ludwik (z uśmiechem) Ty ja będziesz malować, a ja Kochać. Podnie-  
siny się jakos, nie będzie ktoś ci między nami.

Stanis: Kiedyś karateś jej przyjdzie?

Ludwik: Jutro wieczorem. ~~przyjdzie~~. Czy dobrze?

Stanis: Ta, musi być dobrze.

Ludwik: Wątpiś padawolony jesteś za mnie, co?

Stanis: Na parcie tak. Muszę ja jeszcze widzieć.

Ludwik: Jestem pewny, że nie będziesz mia mojej rachwy,  
coś odemnie.

Stanis: Zobaczymy, zobaczymy. (wstaje) No dziękuję ci, mu-  
szę już odejść. Chciałbym się jeszcze z twoją siostrą po-  
regnać.

Ludwik: (podaje mu rękę) Serwis, karetkaj chwilkę, a ja jej  
powiem. (odchodzi drugiemu drzwiemi)

Stan: (chodzi przez chwilę po pokoju, potem staje przy krześle  
i oparty o poręcz jego, spogląda się niepokojnie w stronę)

Eustia: (wchodzi; sicho i serdecznie) Pan już odwiedzi panie  
Stanisławie?

Stan: (zsunęła oczy, niepewnie:) Tak jest, odwiedzi.

Eustia: Dlaczego? Tak się nieorytam, że z panem trochę po-  
normawiam...

Stan: (wahając się) Czyby to pani istotnie przyjęła i sprawiła  
mi to?

Eustia: Pan wątpisz?

Stan: Nie jestem pewny, naprawdę...

Eustia: Pan tylko niechce. Weź pan odłóż kapelusz i  
usiądź tu, proszę (wskazuje mu kresle)

Stan: Dziękuję, bardzo dziękuję, ale...

Eustia: Pan nie chce?

Stan: (b. raktopotamy) Chce... i proszę... ale...

Eustia: Spiesz się pan do kąd?

Stanis: Nie, nie, ale poivi ja mam z pania tu postawai?  
Ja nie moge... (sznurera i odzwara boleśnie oczy)

Eustio: Nie porumiecim?!  
Stanis

Stanis (blagalnie) Panie Eustio, nicie panu mi porwoli  
obejci, ... obejci terar, ja kiedy indziej... potem... wiec  
rem przyjt, ja tu wose, ale nie terar...

Eustio: Co panu jest? Taki pan drwinny.

Stanis (gwaltownie) Ja nie moge stwiej, nie moge tu zostai,  
nie puiosc... nie potrofiu!...

Eustio: Panie Stanislawie!

Stanis (juz) Ja nie moge na pania patreci, nie moge, ja  
musze stgd obejci! (pruca sie w bok)

Eustio (proszaco) Co sie panu przywidziato?

Stanis: (nawigotnie) Nie, nie, mnie sie nie przywidziato,  
ale ja nie moge, nie moge puiosc tego blasku, tych  
drwinnych barw, jakis jasniejsz w oczach... w tych pro-  
srych oczach panu!..

Eustia: (wzruszona, z akcentem przyciśniętym) W oczach moich.<sup>2</sup>

Stanis: (j.w.) Ja je!... Nie, nie, proszę, nie panu, nie potrafię  
się przemówić, nigdy, przemówię!

Eustia: Panie Stanisławie, uspokój się pan, ja pana bardzo  
o to proszę.

Stanis: Ja chcę, ale nie mogę, ja nie potrafię się uspokoić,  
jak długo patrzę w te oczy! (obłędnie) Ja je pamiętam:  
nam, bo one mi sprawiają straszliwy ból!

Eustia: (zdziwiona) Co pan mówi, na jakiej podstawie? Spójrz  
panu nie dobie, w nich nie ma, takie jak u mnie,  
jak panistka.

Stanis: Tak... pewnie... Na panu są one takie, jak u mnie,  
ale nie dla mnie! One mi się wpijają w duszę i  
w głębię mojego serca... ja cały dręczę się od ich widoku.  
Ja nie mogę, nie mogę w nie patrzeć!..

Eustia (cichy) Mój Boże, jakie straszne widzenie!

Stanis (z pewną goryczą) Tak, panu sądzi? Czy panu nie



widzi, że dróg raty, że duara mi się tamie i cierpi  
 niewymownie? Czyż panie nie widzi, że niekiedy to  
 przesiedziło mi w pewnej jednostce, przesiedziło kwi-  
 i siate i pie mnie swymi słowami, a ja  
 tylko syre i bólu? (gwaltow.) Panie, panie, Eui-  
 liv... ja nie mogę sturej, nie mogę... (zakrywa  
 twarz rękami)

Eustia: (bardzo cicho) Panie cierpi z mojej winy...

Stanis: (namięt.) O tak, cierpi... cierpi bardzo, ale w tym bó-  
 lu jest jakaś anielstwo i boskość, jakaś słodycz nie-  
 wypowiedziana, za która wdziaczny być może!

Eustia: (z. 41) Panie jesteś krwinię mi serce ślony.

Stanis: (w tonie powodu) Panie się tylko lituje nademną?

Eustia: Współczuje bardzo z panem, bo pana rozumie.

Stanis: Panie mnie rozumie i nie mi nie powie oprócz wyra-  
 zów sympatyi!

Eustia: (z powściągniętym sercem, niepewnie) Bore! czyż mogę coś więcej?

Stanis: (z wyprutek) Prawda, pani jest kobieta, pani nie musi!

Eustia: Pan mnie nie słyszał, pani Stanisławo, ja  
pana bardzo, bardzo — (urywa)

Stanis: Łaluje! Rozumiem. Pani sobie myśli, że palky,  
na dery i nie chce widzieć tego co się we mnie dzieje.  
(coraz namiękłej) Ale pani powiem, powiem  
wszystko, ja potrzebuję wamtem że powieki pracownic  
i praca pani pod nogi, wszystko, co się w moim ciele  
mieści, bo tego już stwiej, w sobie nie puszczę, nie  
wytrzymam, nie mogę! Pani, ja panią kocham  
potężnego strasnego oskaem, który porzucił w niej  
duszy i duszgoire, co tylko się w niej mieści, ja  
panię nabożstwianem jak świętości, która potapiała  
do mnie z niebios, ja więc się u nogi pani jak  
wagi, który mistyczny mój narodzieja oświeca,  
ty idzie za jego wola i skłanianiem. Wiecie pani, że  
ja panią kocham, kocham i cierpię przez to u.



pruście!

Emilia (dygnąc prawie, cicho) Pan Kocha... ja wiem, wiedziałam, że pan mnie Kocha... ja Fakre...

Stanis: (~~z~~ gwałtown.) Emilio, Emilio, czy podobna? (pruści się ku jej stronie i ciotuje jej) Naprawdę... pani... czy możliwa?!...

Emilia (cicho) Ja pana bardzo lubię!

Stanis. (chwilowy pauz) Tytko? (coraz namiękłej) O nie, nie prawda, pani tak Tytko mówi, ja wiem, że pani mnie Kocha! Ładnie mi się w tej chwili, że słyszę w głębi duszy potępną dziewczę, która wybija kądzielami wielką godzinę przemarcenia. Ona teraz przeryta Namie, przeryta ta święta chwila, w której mi wolno całą moją rozpętaną duszę pochwycić i pruć się wraz z Tobą w niegłębioną otchłanią tajemnego wiru miłości, gdzie porwani wybaczeniem jej postę, rozpaliśmy się wyciem

i potkosku, ar osrotomicui, pijani, ber rypia legnie-  
my w tej bostemiej, ferrepaici!! (chce ja potrosai' w ra-  
midna)

Eustia (cofa sie strowosina) dyrga) Paule Stanislawie; pan  
taki straszny w tej chwisti... ja sie pana lykam!

Stan: (namietnie, ku niej schylny) <sup>wybiegajac ramionami</sup> Tak sad mi toci wy-  
glada!... takka jest moja mi toci!

Eustia (drze): Ja sie jej boje! Zostaw mnie pau!

Stan (j.w.) Ty do mnie ualeryje, najdrozora! Ja sie nie  
jauwera... pusciec nie moge, bo tyj mi odwistkoi  
ferreznacrona! Pójci do mnie, spleciemy sie  
noscickiem tak potgryny, se duze p nas pleca!

Eustia: Nie moge, nie moge (bolesnie) ja takiej mi toci  
nie pragne... ona nie sta mnie.

Stan: (jak parony) Co miowisz!?

Eustia (bolesnie, cicho) Nie moge przyjac od pana takiego  
nerucia, nie moge go przylic. Strach mnie przed nim.

przejmuję... ja dżę cęta...

Stan. Lekasz się mej miłości?

Eustia: Tak, ona mnie przeraża. Jestem za słaba, by ją  
pnieć. Ja nie mogę się pruć w ten strasny wir,  
na którego Dnie legnąć bym skrócie musiała.

(nauwstępnie) Ja pana kocham, kocham bardzo...  
ale inaczej... ale inną miłością, głębszą... spokoj-  
ną i... długą...

Stan. (zwałt.) A ja się potępiam, jak grzmot miarotęczy!

Eustia: Tęgo właśnie się lekam.

Stanis. (nauwstępnie) Alci to najwiękora porokosa pęgnąć pod ob-  
chem miłości!

Eustia: Nie stać mi! Mnie trzeba porawienia w ucie-  
cin, upojenia krytego i stołkiego, jak marceuse...  
Ja chcę kochać długo... i życie cęte... cęty wieczności.

Stan. (j.w.) W tej chwili cęta wieczności się mićci!

Eustia (spokojnie) Nie panie, pan się myli. Chwila strachu nie

okupi życie całego, przynajmniej nie stał się. My  
 się posunęły, ja wiem, my nie podobni, jak Terpentosi  
 nasza.

Stan. (stamany) Wiesz pani, od tego nie musisz?

Eustia: Ja pana kocham, powtarzam, ale pan i państwo  
 musisz być inne, jesti mamy —

Stanis. (prerzywając, szczerze) Wiesz jakże?!

Eustia: Usuni pan z góry, która będzie pańska dusza...  
 zbliżmy się ku sobie pojęciem miłości, a najpierw  
 my najwyjście skierować w naszym kierunku...  
 (boleśnie)

Stanis: Tęrego pani pragnie? Jak pani sobie to wyobra-  
 za? Ja nie wiem, nie pojmuję tego ogranicze-  
 nia, z którym się moja dusza zgodzić nie może.

Eustia: Wyrzyc się pan tego piekielnego ognia, który pa-  
 na piec swym ptomieniem i katusze podzi mi-  
 potrzebne. Niech pańska dusza będzie czysta, jak  
 moja, niech spojry w dal, na odległe przestrzenie

sergocia, których nam wzięć wolno; niech się porleje  
 szerokiem morzem, jak moja i napokoi fale, co  
 się na niej jawnia. Podobni do siebie, cisi i nieśka-  
 lani praworamy ze sobą święty sojusz miłości, który  
 nas poniesie w świat pojeń i czynów, w świat ekstaz  
 i boskich pachwytów!

Stan: (ze smutkiem i powodem) I panu sądzi, że musicie to  
 wystarczyć, morie?

Eustia: Skoro pan rzeczy, wystarczy i zastąpi panu  
 kamto.

Stan: (j. u.) Nie morie zastąpić, nie morie!

Eustia: (z zapętem) Da panu więcej niż kamto, zastąpiam  
 panu! Dusze nasze splecione ze sobą wstęga miwi-  
 ta, ze słoty promieni obłasku Bożego, ukacu  
 w sferę przerytą, podniebne, gdzie będruciny się  
 jowi portkora poraniczenia, jak cherubiny światła  
 ta aureola Stworzyciela. Miłością spowici obędruc

my z wspólnego ducha Dyle Behucenia Dwórnego,  
 że w obliczu naszych Driet siviat tuu, stocisz  
 się porpromieni i paspicwa nam pachwycony  
 hosanna chwaty i uwielbicnia! My dwoje stro-  
 rymy cuda, jakich nikt dotąd nie widział: wnie-  
 simy na swych barkach ptaka ponad sreyty  
 myśli ludzkiej, gdzie rajsunie nakrztat  
 gorącego słonca nad ciemnościami mgły omu-  
 tej ziemi! O tak, ja wierze, wierze, bo pruje w gło-  
 bi duszy swojej, że my dwoje, skoro nas los rjedno-  
 cryt, winniemy z miłości naszej wiec w spa-  
 niaty wiecie sławy sta siebie i sta siviata!

Stau: (z niechęcią<sup>bolej</sup>) Ja sławy nie pragne, nie pragne  
 porogtom, ja chce miłości, orata miąjcej, pijsi-  
 nej miłości!

Amtra (Puli jego głowę, on przestem usiadł) Czy pan nie  
 porumiesz, że taka miłość pana na chwily upoi,



a potem pniechżei pupetnic? Czyż nie stokró'le,  
 pięć, pięć stługo i przeciągle z słotkiego kielicha  
 porokosy, nie jednym kchem go wypróbnic do dna?

Niech nasza uczucie nie tylko do nas należy, wiec  
 ono będzie udziałem świata całego.

Stau: Co świat mnie obchodzi? W miłości mej widzę  
 otchłania, w których brykają światów, jak ten po-  
 grzypię się morie!

Emilia: Wzgiń miarę dla pańs picnia, ludnie... miarę  
 sztuk, w której mistrzem jesteś?

Stau: Sztuka, sztuka!... Tona przez miłośnic nastąpi  
 musi!

Emilia: Nie powiniś, mój drogi! Obie się dąbros potęczy  
 i spleci' tak harmonijnie, jak par i barwy jedne-  
 go promienia. Ja marzę o takim społeczeńiu i  
 tak naszym miłoi' pojmuję.

Stau: (smutnie) Sztuka... sztuka, powiadasz? Życie i ko-

chci' mamy ta sztuki i jej sad miłosci posiadzie! Czy  
 tak nam to sercnie?

Eustia: Loba wyz moj drogi! Ja wierze w two wielkosc i  
 sercnie!

Stan: Two wielkosc i istawa! Jam sercnie, pokorny  
 spragniony!

Eustia: Bzdreciny jej miaci do zyta! W miłosci i pracy  
 na ustugi sztuki splynie nam pycie jak sen,  
 ktory przejdzie w wiecznosc przebloga Prawda,  
 se to bedzie pisknie... pokoscnie?...

Stan: (smutnie) Moci i pisknie, ale nie tak, jak bym  
 tego pragnal.

Eust: Gorsze ten drizony smutek! Wszak mi nie  
 straciles, skoro masz miłosci moja!

Stan: A jednak mi smutno!...

Eustia (pisci go) Porzajsi oblicie, uwmiechuj sie i  
 spojrz przed siebie! Oto ja jestem przy tobie, ja,



Twoj amód opiekunów, którzy ci dają prawo miłości na  
 Behucenie do dzieci takich, że ludzkość całą raduwać!  
 Wiesz co?.. Zrób sobie mój portret! Kiedy mnie przy  
 Tobie ciałem nie będzie, chociaż z płótna spoglądać  
 będę na Twoja prace i Twymi memi oczami, (inicjacja s.  
 spoglyda mu głęboko w oczy) Twymi drwinami oca-  
 mi, których się tak lekasz, będę ci w duszy be-  
 dzita ognie, jeśli na przyspasna na chwilkę. Czy  
 dobrze, Stanisław?

Stan: (z większym wyznaczeniem) Twój portret mam ro-  
 bić?

Emilia: (z rozpaczą) Tak jest, to będzie przeciwne nasze wspólne dzieło!  
 Zrobisz go?

Stan: (cicho) Zrobisz.

Emilia: To dobrze, o, to bardzo dobrze! To będzie zadatek  
 naszego świętego sojuszu! Ja wiedziałam, że ty to  
 zrobisz, że ty to zrobisz dla mnie.

Stau: (wzruszony i drwinie smutny) Murow, probie... tobie sie  
opraci nie moge. Jak Dziecis ukoty <sup>patas</sup> mnie spie-  
wem swojej slodkiej mowy. Melodya Twoich slow i  
warowiny urok domu drwinie uspokoi moja duwa.  
To, co w niej wrotalo i hucalo... przygasto... zgtuchto...  
pamawto... (cztuje ja delikatnie w usta)

Justia: Porwol, ze twoj duwa do party ucisze. Melodya mu-  
ryki prawdziwej, krystej, anielskiej muzyki powio-  
ze nasze duwa na wyryny gwiazd stowistych, gdzie  
z promienia na promieni <sup>re</sup> ~~z~~ biczynny z wszech-  
swiaty ogromny, stuleni... spowici... srogilini...  
(podczas ostatnich slow polira sie powoli ku  
postepianowi, siatka i racywa grac jakis  
utwor formarragezy. Kurtyna.)

Koniec aktu pierwszego.

## Akt II

Mieszkanie Stanisława Goryckiego.

Pokój, niewielki, jeden obrarów; sztalugi, na nich rozpięte płótno. Z boku drzwi do drugiego pokoju, na przeciw sceny drzwi wychodzące do przedpokoju.

Stanis: (siedzi w fotelu przed sztalugami, zamysłony patrzy w pieńce; w rękach paleta i pędzel; po chwili wstaje, zakrywa malowalę; - wstrzymuje się, ręka mu opada; boleśnie:) Nie więcej, prócz scen!... Nie mogę, dalej nie mogę!... (odkłada pędzel i paletę i chwytła się za czoło) Co to jest, co to jest?!... (opuszcza głowę) Taka niemoc... taka nieudolność!... (po chwili przywa się) Ale ja muszę, muszę próbować, Driś jeszcze muszę skonieryć! (Grabiera się ręką do pęty, ale po chwili ręka wskrytko z ręk, pada na fotel, zakrywa twarz i tak <sup>znow</sup> chwytła siedzi.)

Ludwik: (puka, po chwili wchodzi) Serwis! (pochodzi ku Stanis.)

Cóż to takiego? Spisz, czy co? Skarzek!

Stan: (podnosi głowę, jakby się budził, zdziwiony) Tyż tu?

Ludw: Jak widzisz. Cóż, nie wypates się w noc, i teraz  
doremnie?

Stan: (wstaje, niezadowolony chodzi po pokoju pewnie, nie  
pewnie) Spatam... sam niewiem co to takiego.

Ludw: Małowates more i puzerytas się?

Stan: E...

Ludw: (roztrzymuje się przed stolem) Ano istotnie,  
to przecie świeże. Cóż? czy i pars linii dookoła.  
Czy to nie ma być milka przypadkiem? Przypominają  
mi się nieco jej, czy.

Stan: (zobliża się, żywo:) Naprawdę podobne?

Ludw: Czy zupełnie jej. Czem tego nie koniwers?

Stan: (wymijająco) Nicuam teraz weny. Porwól, że odsta-  
wiesz symerascem na bok (usuwa płótno na bok)

Ludw: (symerascem) Słowo daje, zardrosers pi swego talentu!

Same oczy, a co się w nich mieści! Żebyś tak miał  
się trochę na Twoim kursie, zarabym sobie pro-  
bił portret Gulki.

Stanis: Jakiej Gulki?

Ludw: Jak to? przypominacie, że będzie miał dziś gościa?

Stanis: Doprawdy, nie wiem...

Ludw: A to dziewczyna, która ci ma stawić po modelu?

Stan: (przypominając sobie) Prawda, nie myślałem wcale o  
niej.

Ludwik: Uwajes.

Stanis: Słowo daje, że oni paru mi na myśl nie przyszła.

Ludw: Kreska nie krwi się, nie praw jej przeciw.

Stan: A gdyby nawet!..

Ludw: Towsem, owsem, wcale nie pragnę tego. Nie będę  
miał niecierpionego rywala.

Stan: No, mój kochany, nie myśl, że potrzebuję się tam do  
jakiejs...

Ludwik: A prawda, zapomniałem zupełnie, że ty coś masz z Milką. Przyprowadź mi ją bardzo, nie pamiętałem w tej chwili.

Stanis: (zryw) Czy siostra ci coś mówiła?

Ludw: Wspominała coś o jakiejś rozjadrze - współludzi. Jest, ale choćby i nie nie mówiła, nie trudno przecież odgadnąć. (śmiejąc się) Zakochanych łatwo się poznaje.

Stanis: (zaciśnięte wargi; po chwili) Czy nie mówiła czegoś o portrecie?

Ludwik: Nie, krótko z nią mówiłem, bo mi lubię sentymentów. Czy to jej portret robisz?

Stan: Tak... miatem właściwie pomiar... ale nie wiem jeszcze... W kartym papierze mi przetrzyma, nie wspomnij o mi.

Ludw: Przecież nie będzie niespotrzebka, skoro wie, że masz probić...



Stan: (wymijająco) Tak... ale widział... chodzi o czas... mi  
nieumiejętnie kobiety młodsze, a nie chciałbym jej robić za  
rodzi...

Ludwik: No, jak chcesz i owszem. (Chodzi po pokoju, nie  
cierpliwie się porgląda) Wiesz, że się ~~zami~~ niecierpli-  
wie. Już dawno po piątej, a jankosi jej nie wita.

Stanis. (Stanowczo) Słuchajno Ludwiku! Wiesz, że wcale  
nie będę radośny, jeżeli w mojem mieszkaniu  
będziesz mi prowadził romanse. Na to się zgodzić  
nie mogę, musisz sobie znaleźć inne sposoby  
widzenia się z nią.

Ludwik (uspokajająco) No, no! Nie bierz tego tak na serço.  
Bardzo wątpię, czy w ogóle się z nią da coś zrobić.  
(nadśłuchuje) Coś się tam wlece po schodach?... To  
chyba nie ona.. (Za siebie słychać kroki i głosy)

Barbkowski: (wchodzi z Górkim, Ciermińskim, Derstkim i Wot-  
kiem); do Górkiego) Powiadam ci, że przesłizna!

Górski: Nie widziałem jej dobrze, ale postać istotnie mi  
poniżająca.

Cierniński: Ja w twarzą nie pistknego nie widziałem.

Andrzej: Patrzcie, patrzcie! Cała literatura się rypie. A  
jocór was, dyabli tu przynoszą?

<sup>(szorstko)</sup> Górski: Powieć się, mój kochany! (wstał i z obecnyimi, <sup>został</sup> to samo)

Cierniński: Moglibyście dać spokój, bym gburawatym wyprze-  
nidem.

<sup>(szorstko)</sup> Górski: Przebie, przebie, rathaj usy!

Cierniński: Ale moje pocernie estetyczne!

<sup>(i.)</sup> Górski: Porzecz go pamiataczom, ulic, mój pistkniej będą  
składali śmieci na kupie.

Cierniński: Jesteś wstępnie Frywiałny!

Baranowski (który jui farredtem richo rozmawiał z Henimist, do  
niego) Nie teraz mić pobier?

Baran. Mato.

Baranowski: Górski mi mówił o Laubric, czy jui paręsta?

Ludwik: W tych dniach ja pracuję, postaram się o modelki.

Gośki (zdziwiony) Jeszcze nie pracuję? Właśnie przypatrzę się, żeby się przypatryci, jak pracują.

Kamila (nieco sprytnie) Precież słyszę, że nie miałem modelki.

Bartholomiej (do Gośki) Wiesz, Gośki, ta Drewniana, którąś mi widziała, nadawałaby się świetnie. Żdaje się, że potęgiła by się, wyglądała trochę na koka.

Gośki: More, more, nie mogę wydać sobie, skoro jej nie widziałem dobrze.

Bartholomiej: Ale postaram się, że się uda do pakowania!

Gośki (zniechęca) Masz, postaraj się do pakowania! Z ciebie taki sentymentalny nudziar, że się aż ple prędko robi, kiedy się słyszy.

Ludwik: Nie widzę w tym wcale sentymentu. Przyjmuję się stwarzać, że ja karzę piękna kobietę kocham.

Wódek (z lubieżnym uśmiechem) Przyjemna praca, prawda? he... he...

Goński: Wiem ja, jakie to Kochanie.

Ciermia: (koncem wykładowym). Piękna kobieta? Piękności to <sup>różnie</sup> przez wzgląd na i w różnych prasach była pojmana na. Co innego piękności klasyczna —

Goński (przerwywając) Idźcie do diabła z swoim wykładem, stypendium my go już nie stopamy!

Barbosa: (do Gońskiego) Masz piekawe pojęcie o miłości. Nie odróżniasz wcale prawdziwego uczucia od chwilo-  
wego kaprysu?

Goński: (zapatelnym) Wzryskto jedno, to zupełnie obojętne. Każda mi-  
łość dla kobiety w moich oczach jest przecą miłą,  
niegodną człowieka, naturalnie człowieka  
w całym tego słowa znaczeniu. Gdzie jest natura, a takim jest przecież kobieta, to  
podobniej głupie, a temsamem wstępnie.  
Nie myślał bym nierozumnieca być takim, skoro  
mam przeciwnie, rejonatam coś więcej

awieci prworouóg.

Cierniu (z miną profesora) Chciałś powiedzieć: awieci  
pwierrę, bo przecier mamy i dwunovine pwierręta.

Goński: Do tych ciebie paliram! - Na mnie kobieta ma  
o tyle wartości jak o ile stwiry sztuce, czyto jako  
podmiot, czy jako przedmiot, ale poro tem mi  
więcej. Wryptko sprowadzam do jednego mia-  
nownika, którym jest sztuka.

Barthou: Alez takie uogólnianie musi być z natury  
precyzy faktorywe! Jak można mi uwnawiać  
jörniny płci i miłości, która jest jej wytworem.

Ludwik: Witai obcejser pbył duwo z emancypanthami,  
które istotnie wiele z swej płci patracily.

Wolek (z lubierinyu uisnicieku) Płci... płec, to grunt, he...  
he... bez tego kobieta niczem!

Goński: Emancypanthki są, Na mnie pównie wstętnie, jak  
taute bermypłne samie!

Ciern: Masz pupetkę paęc, te cwarępańtki porostawiają  
narceum gwałtownie estetycznemu wielożyciu.

Baron: (do Górskiego) Wiesz jaka chce być kobieta? jak  
sobie ją wyobrażasz?

Górski: Jak? Niech będzie kapłanką sztuki - podobnie  
jak mój pierścionek!

Ciern: Naturalnie, kapłanka sztuki być powinna,  
jestem tego samego zdania.

Ludwik: Tani kapłani i kapłanki; 'Tadniebysmy wy-  
glądali.

Górski: Tani? Myślisz, że to tak łatwo mieć postać?  
Wybraniacy tylko sięgają tak wysoko - Pluum Pluum  
moim postacie!

Wótek (zadowolony) Pluum Pluumem postacie, he... he...!

Stanis: (który dotychczas nie mógł się dopomóc swymi  
nerwowo przechadzał się, paląc papierosa jednego  
za drugim) - do Ludwika) Słuchajno, kiedy miał



Ła paryżje Ła Drieweryna?

Ludwik: No teraz, wiczerorem, powinna już tu być dawno.

Barłow: Kto taki?

Ludwik: Modelka. Zobaczyć jąka śliczna Drieweryna!

Goński: Jaki profit?... grecki?... pranie sery?... włosy  
kruce?

Wótek (lubiernie) Pierśi wydatne, co? he.. he..

Cierni: To nie w moim guście. Kobieta jeśli ma być  
piękną, musi być blondynka, wysmukła...

Goński: (do Cierni) Znam już twoją receptę. Greczynka  
blondynka, dobryś sobie! (do Stanisł.) Coś, jakże  
wygląda Ła Drieweryna?

Stan: Sam nie wiem, nie widziałem jej jeszcze.

Goński (przdriwisny) Jakiś, bierzesz model, nie widząc  
go wcale?

Stanisł. Polegam na guście Ludwika, a receptę nie uło-  
żyłem się z nią jeszcze...

Goński: Wkaszam parę lekkomyślności z Twojej strony, nie sam  
nie szukasz wrogu. Tyle liczymy na ten Twój obrar,  
mającemu z nim całą przysiężoną stronę kierunkową,  
a ty tak lekko przez praktykę...

Stanis (niechętnie) Dosyć biegatemu za tem, żywi mi się  
pnięto.

Goński: No, no, To trochę za wczesnie! Widzę, że trzeba  
cię będzie dopilnować.

Stanis: (niecierpliwie) Jeśli będzie chiał, sam probie, co  
będzie potrzebne, Twojej opieki nie potrzebuje.

Goński: Jakiś będzie chiał? Czy przypominasz, że się  
podjął tego obraru nie dla siebie, ale dla nas,  
dla idei, dla przekonani estetycznych, których  
standard musimy przed nami?

Stan. (j.w.) Daj mi spokój z przesadami!

Ciernin: Ale Stanis, jakże możesz to nazywać przesadami?

Stanis: Powtarzam, że przesada!

Gośka (wzburrony): Na miłość boską, co ci się dzieje?  
 czyś oszalał, czy co? Miałbyś tamże przygotowa-  
 nie i nas wszystkich chcieć wystrychnąć na sucho!

Stanis. (j. u.) Ładnego przygotowania nie dajem, a choćby  
 nawet, tożno mnie do miłego nie obowiązuję.

Gośki (zmięcionym głosem) Opanie! pan tak śmiało  
 śpiewa, to co innego! <sup>(z naukiem)</sup> Tam stał, mój kochany,  
 że masz się mną do czynienia, że przygotowania  
 dotrzymasz, że obrar zrobisz i to zrobisz jak naj-  
 prędzej! Tak, ja się o to postaram, ja, ja, czy  
 słyszales'?!'

Barthou: Złotnie pobieram ogromny zawót. Nie przy-  
 juczerałem...

Stanis. (gniewnie) Robisz, co mi się podoba i kiedy mi  
 się podoba.

Barthou: Ależ wiec przelicz, że otwarcie wystawy się  
 zbliża, czas już krótki...

Stanis: (mniej opryskliwie) Wystarczy, jeszcze, wystarczy.

Barłow: Więcej brak ci tylko ochoty na parcie, tak mów.

Stanis: Ochoty, sił, wrypskiego mi brak!

Barłow: Pewnieś puzerowu, powinskuć, wypowię  
parę dni.

Cieruni: Rozumie się, nie powinienes się wyserpy-  
wać, swoje zdrowie sta was, wrypskich, mecie,  
mone.

<sup>(boleśnie)</sup>  
Stanis: Pewnie, pewnie! Myślisz, że prawda będę robił  
sta was, sta iści, a o sobie nie me pomyśl.

Górski: A ktoś ci broni? Precz cię nikt praw-  
nie pędi bałami, chodzi tylko o to, żebyś wy-  
konał, czego się podjął. Miałem do ciebie na-  
wet jedną prośbę, ale wobec tego obecnego  
naprosobienia, wolać ci dać spokój.

Stanis: Cóż to takiego?

Górski: Ilustracje do przyszłego numeru naszego

pisma. Redaktor się prosi, zrobić?

Stanis: Precież widział sam, że teraz nie jestem w sta-  
nie...

Ludwik: Co przyniesie najbliższy numer, nie wiem, Gołki?

Gołki: Nie wiem dokładnie.

Derski: (który od początku tej sceny siedzi przy biurku i  
pisze coś w wielkim wysiłku na siwostku, nie  
wracając uwagi na mówiących) Zaraz... za-  
raz stwórz... w tej chwili... żyć koniecznie.

Ludwik: A co ty tam smarujesz?

Derski: Zaraz, zaraz powiem wam wszystko. No,  
narcocie!... Co, chcecie wiedzieć, co będzie  
w numerze? Oto będzie mój wiersz.

Gołki: To niewiele wiemy, idź dalej?

Derski: Więcej niewiem, ale powiadam wam, wiersz  
wspaniały, robi sensację! Chcecie go przeczy-  
tać? Zaraz, zaraz, mam go przy sobie.

(wyciąga paczkę swistków z kieszeni, szuka i podaje jeden Barłowskiemu) Tytuł jest wryje. Ciermin: (który się oburzył z powagą) Mogłbyś dać jakiś oryginalniejszy tytuł, jw. dopuść namy tych wryje.

Gorski (podnosi kymrasem jeden z uprzedzonych przez Derckiego swistków i ogląda go, potem przewiewny) Co to? ... znany mi skądś wiersz... (czyta) „Przerobione do Tygodnika humorystycznego”. (patrzy szybko w stronę Derckiego) Co to znaczy? Twoje pismo.

Dercki (wysmijając) Załącznik mnie wiersz i odpis: rateru go sobie. Oddaj mi go (chce go pobrać)

Gorski: (j.w.) A ten napis?

Dercki: (j.w.) Pomyłka, miało być „odpisane z Tygodnika humorystycznego”.

Gorski: No wiersz byłaby to trochę za wielka pomyłka.



ale to nie jest pomysłka, to zupełnie dobre  
napisanie.

Deriski: E... myślisz nad głupstwami! Postuchaj się  
arej tego wiersza, który teraz napisatem....

Gorski: Którego paradyś umiesz jutro w „Humorysty-  
tycznym” „areby nas osmieszyć”, czy tak?

Deriski: Róci ci się coś w głowie...

Gorski: Nie, mój kochany, Perak już wiem wyrytko. Nie  
wierszem kiedy mi mówiono, ale Perak przek  
mam jak na dłoni. Ty, pamięn, przesiadaj się  
na dwóch krzesłach: jesteś równocześnie z nami  
i przeciw nam.

Barokow (zdziwiony) On miałby mnie serce?...

Gorski (sztywno) Mam dowód w ręku, oto jest!

Deriski (wykręcając się) Dalibyście już spokój głupstwu.  
(do Ludwika przedko): No, może ty postuchasz tego  
wiersza? Muszę ci najpierw jego genre opowiedzieć.

Wiesz, tu na dole, przed domem spotkałiśmy teraz  
sliczną dziewczynę, chodziła kam i na powrót i takie  
próbota na mnie wstawiła, że pod jego wpływem  
napisałem ten wiersz. Słuchaj!

Ludwik (Georgewo) Jak wyglądała? Brunetka... w małym  
fycle... w ciemnej sukni?

Leski: Tak, tak, ale słuchaj!

Ludwik (radośnie) To Julka, Julka!... A przecież cię  
jaśniej krasnie, żeś mi tego weselej mi  
powiedziała! (chwyciła kapelusz i wybiega)

Wolek: (zjawa) Co? dziewczyna?... idź z tobą!... (chce  
bić za nią)

Stanis: (zatrzymuje go) Zostan! Jeśli to ona, to ja  
tu sprowadzi.

Wolek: Ona? Kto ona?...

Stanis: Modelka.

Gośki (stanowczo): Słuchajcie, moi drodzy! Jak długo

jestemy między sobą, musimy się ratować  
z Derstkim. Potrzebowatemu się, że jest spruja i po-  
winniemy go z naszego koła wykluczyć!

Barkow: Miałby być naprawdę tak interesujący?

Stanis: Jeśli masz dowody, rób, co ci się podoba.

Dercki: Bardzo proszę, ja...

Gorski (silnie): Z Tobą nie mamy od Driś nic wspólnego, ro-  
zumiesz? Zechciej opuścić to przeciwkaniu!

Dercki: Nie jesteś tu gospodarzem, nie masz prawa...

Gorski: Gospodarz jest tego ptania roju; no wynosi się  
w tej chwili!

Ciermin: Dajcie mi spokój tym niesmacznym procesom,  
na miłość boską. Ja Derstkemu od Driś nie podaję  
peki, róbcie to samo i sprawa skończona.

Dercki: Ale dajcie mi sposobności obrony!

Gorski: Wykluczona tu wszelka obrona, mamy towody!

Dercki: Potrzebowatemu pięćdziesiąt, więcej...

Górski (w paszy) Ten większa pikaresenność (głownie)  
 Głyscates' panu nare s'istaweremie?

Derski: (gotów obępi) Dzwota, nie pakerij mi na wanej prz.  
 garmi, mogą się ber niez obępi. (oddala się; przy  
 drzwiach) Ale, ale, obępie mi przynajmniej  
 mój miere!

Górski (wraca mu s'istetek pod nogi) Wiersz... poeta!...  
 (Derski podejmuje kartkę i odchodzi skoufuntowany)  
 (Chwila ciszy; wchodzi Julia, za nią Ludwik)

Ludwik (w drzwiach) Proszę pani, bardzo proszę (Przedsta-  
 wia jej Stanisława) Oto mój przynajiel; gospodarz  
 mieszkania.

Stanis: (pod silnem wraceniem, zmieszany) Bardzo mi  
 przypinmie... jestem niewytkle... bardzo uiszorany,  
 że pani pechciata... pacyta...

Julia (wita się z nim) Witro, pięm mi przypota w por...

Stanis: Ale i sworem... proszę... pani porwoli (prerentuje)

literat Górski, Barkowski również literat...

Ciernin: (zobiera się) Cierninski, esteta

Wotek (pównier) Wotek... Wotek do usług, he... he...

Ludwik (do Julii) Było bardzo miarosądnie ze strony pani  
tak długo czekać na dole.

Julia: Nie mogłam się zdobyć na odwagę, ~~umieć tego~~.

Stanis: Pani pacy wejść do drugiego pokoju. (Julia, za  
nią Stanisław i Ludwik wchodzi do II-go pokoju)

Górski: Wspaniała kobieta, jak Boga Kocham!

Barkow: A widział, nie mówię ci?!

Wotek: Ktoś to jest Pa, co? Wartełoby panie tego he... he..

Górski: Przecyporny model! Teraz już nie potrzebuję się  
lekać o obrar. Taki wrót może natchnąć do naj-  
wspanialszej kreacji.

Ciernin: No, właściwie to ona nie tak ładna.

Barkow: Wznieć po, dobrze byłoby się wynieść, Skarpek może  
się chce z nią umówić, nie powinniśmy mu



przerkadrai!

Górski (sinięąc się) Boże się może, żebyś się po niej nie  
pakochał, co? No, wręta, moriemu pójsi. Tylko pa-  
mistajcie żeby tu ktoś z was za parę dni zagła-  
nał, <sup>przekonał się</sup> jakie są postępy, bo jak wiecie, ja muszę  
wyjechać, a Stawka Procha Frucha przypilnować.

Barthow: Nie lekaj się, przy niej będzie pobit.

Górski: (ku drugiemu pokojowi) No Stasiu, my odcho-  
dzimy, nie będzie ciemu przerkadrai; idźcieś  
Ludwik!

Ludwik (susięąc się) Ja? ... Bogo... zaraz (podchodzi  
ku Górkiewiczowi, cicho coś mówi do niego)

Górski: Kiedy nie moriemu w żaden sposób. Witkier  
przećci, że Stach się renuje.

Ludwik: Skoro koniecznie (wchodzi do II pokoju) Zogusiu  
pauis, musimy już stęjsi.

Julia: (podchodzi z Ludwikiewiczem ku progowi) Muszę pa-



na jeszore par serdecnie podziękować (nieśka mu  
reke)

Ludwik: Jestem niewytkle nieśkony, że mógłem panu po-  
modr. Cóżby parki (nieśka jejstou, To do Stanis.)  
Serwis!

Stanis: (który Tymczasem wchodzi do 7<sup>go</sup> pokoju; zignawie)  
Dowiedzenia się z panu (wychodra wskazywać  
Stanisława i Julii)

Julia (pochwili) Pan się pewnie na mnie gniewa. Wy-  
pedziłam panu przyjaciół.

Stanis. (Kiwnie podniecony) Serdecnie panu za to wdzięczny  
jestem. Czego sam nie mógłem dokonać, panu u-  
czyliła nieswiadomie.

Julia: Nie lubi ich pan?

Stanis. Nie wyrzucił.

Julia: Pan Ludwik, który był tak dobry mi nie parokomcu.  
Dawać panu, musi być bardzo miłym człowiekiem?

Stanis: Ludwik? ... istotnie, bardzo miły chłopak. Jemu  
 rawdziuieram to przepicie, że mam pania u siebie.

Julia: Szerepcie? ... Ma pania? ... Lartujes pan chyba?

Stanis. (z squisim) Gdybym mógł panu wyrazić jak  
 wielkicia swojst!

Julia: Mój panie tatkawu, nie przystam słuchać  
 tu pańskich kompleksów, ale w interesie.  
 Racor się pan tatkawie miin pajzi?

Stanis: (z lekkim wyrzutem) Interes? ... panu! jak  
 panu uwró rzobai? ... Teraz mam się pajzi  
 interesami, kiedy pania dopiero co porwatem  
 ... kiedy pania uwró ... patrz na pania...?

Julia: A cōi panu myśli, że porwolę na siebie wicernie  
 patrzy? Na to będris pan miad pras kiedyindziej,  
 Teraz proszę mi podać warunki, na które się  
 przesata jw r gōi r gōabkam, następnie wyzna-  
 cryj mi pras, kiedy mam panu stwryj - no i intē-

res będzie ubity (śmiejąc się)

Stanis: Na miłość boską, przestań pan mówić o interesach.  
 Nie jestem zdolny teraz do patowania takich rzeczy... nie potrafisz myśleć... zastanów się...  
 Będzie morza kiełbasy...

Julia: (fitu termis) A cóż będzie teraz? Nie mamy nic lepszego do roboty.

Stanis: (z zapamiętaniem) Jąbym tak pragnął porwać panią bliżej! (Wzija w nią spojrzenie)

Julia: Porwać? ... Toć mnie pan przecież widział, a (smutniej) o mojej ferreście musiał panu mówić pan... pan Ludwik.

Stanis: (j. 4) Tak... więcej... słyszałem, ale to mało.  
 Pragnąłbym więcej, pragnąłbym wnikać  
 okiem w głąb duszy pani, w głąb istoty, w której,  
 jak przewracam, kryją się skarby, jakich  
 poróżnam spragniony.

Julia: Nie bronię panu siebie tutaj. Wolna droga. Czy co  
dowolnie, wstępnie.

Stanis: Pani nie wie, ile mi dał jowi chwiloowy widok  
pauz! Ja sam niewiem, ale Ferar... w tej chwili sryjs  
się tak drwinie porbubrony, tak pełny ognia i  
papatu... doprawdy, niewiem, czy to te ocyj pauz  
probiły, ... czy te usta, czy... ta puzerka drobna,  
biata... (mimowoli chce ująć jej ston)

Julia (usuwa je wzruszona) Moribymyj puzerka.  
Konczyli interes, bo jowi tak porino.

Stanis. (odkrywa) Interes, interes! Tregorj pauz  
chce odcenni?

Julia: Czy pan jowi obmyślitesz ka mnie jakki kostymu?

Stanis: Kostymu? ... Tak, tak, obmyślitem, ale to  
porniej.

Julia: Nie panis, pragnęto bym Ferar. Taka puzier  
pliswość mnie pali pobawemio siebie w tym

Kostyumić. Żechciej mi go pan określić... opisać...

Stan: Bore, czy koniecznie terar?

Jul: Tak, koniecznie!

Stan: No dobre, zapokojs się pliwosi panu. Kostyumi mam nawet gotowy, bo przed kilku miesiącami miałem jej modelkę do Laidy, ale nagle odjechała i nie mogłem jej wryć.

Julia (uradowana) Jakże się to dobrze składa! To byś mogła zaraz, natychmiast przymierzyć!

Stan: Nie wiem, czy będzie dobry na pania.

Julia (wzrost) Nie nie szkodzi, spróbuję. Nie ma pan pojęcia jak jestem niekawa. Racz mi go pan pokazać!

Stanis: Podziwiam zapad panu (wyczuwa że sraży kostyumi, patrzy co chwila na Julię) Oto jest, proszę, bardzo skromny.

Julia (ogladając) Co to takiego?

Stanis (objasniając) To Stanisława przeruci panu w ten sposób,



że prawie barki porostaną zupełnie odłonięte - ot tak  
w poprzek, powyżej, jędrsi, a ramiona naturalnie  
będą też obnażone... Ten system, niestety tylko  
blaszany, panu włoży na głowę... a te sandałki  
na nóżki.

Julia: To wrypsko?... Ależ to mało, stanowczo za  
mało!

Stanis: Proszę pani, jak na strój Lady pewnej za wiele.

Julia (zawstyżona): Możeby włożyć coś na ramiona?

Stanis: O, tego nie można! Obrac straciłby na tem  
bardzo wiele, prawie wrypsko. Na obracpani  
się musi zgodzić.

Julia (z rezygnacją, sluzerną): Ciężki warunek, ale cóż  
robić! Głównie mam z tem pojąć, żeby się przebrać?

Stanis (zdziwiony): Pani istotnie chciałaby?...

Julia: A cóż pan myślał?

Stanis: To proszę do drugiego pokoiu, tam się pani



more puppetnie swobodnie przebrać. Kluczek jest  
wewnątrz.

Julia (rozgląda się, chwilko się waha) Dobrze. (wchodzi)  
Za parę minut będę gotowa. (Zamyka drzwi)

Stanisław: (chwytając się ręką za pętlę czoła, w twarz widać  
goryczkę, chodzi ryjwo i niespokojnie po pokoju,  
patrzy czasami ku drzwiom pokoju drugiego,  
siada, odpedra jakies myśli, wstaje, chwyta  
czoło, przykladając je do srebra piewiecziała... nieraz  
się wpatruje w drzwi, które się powoli otwierają.

Julia (w kostiumie, raptownie, staje w progu; błagal-  
nie) Niech pan nie patrzy!

Stanisław (olśniony, zszarowany, szepta jak do siebie) Zachwy-  
cająca!

Julia: Pan niedobry, czemu pan patrzy?

Stanisław: (nawzięcie) Muszę... muszę, będę patrzył, aż o-  
stepnę od kyla blasku!

Julia: Kiech pan prawdy powie, czy dobrze mi w tem?

Stan: (j. v.) Bose, Bose, daj mi wicernie ogladać To, cudo!

(odwraca wrodek)

Julia (z nutką miśsiępliwości): No, niechże mi pan powie, jak wyglądałam!

Stanis: (rusza się ku niej, chce ją potwarać w swą pamięć na); bardzo namięstwie! Julia, Julia, bo oszaleję, jeżeli nie ucałuję tych słodkich nosków!

Julia (usuwa się): Kiech pan tego nie robi, bo się zgnie wam.

Stan: (gwalt.) Tego się nie pęknie... ja muszę, muszę!

Julia: Bo się naprawdę rozgniewam, przez wszystko iodeję, powiatam panu!

Stan: Nie próbuj pan tego, ja wiem, panu nie by-  
łobyś zdolny ~~pro~~ radzić mi żadną boleń!

Julia (przekonawczo): Zobaczysz pan, że zrobię. —  
No, a co teraz mam wrynieć, jeżeli mam

przybrał 'porycy'?

Stanis: Porycy? (chce ją uchwycić za ramię, ona się u-  
suwa) Tu na tej sofie, proszę. (Julia siada na  
greckiej sofie stojącej po lewej stronie od widowni;  
wergłowie powracane w głąb sceny) Pani z taski  
swojej przechyliła się na lewe ramię, a to  
opiera o poduszkę... o Tak, dobrze. Mniej wis-  
cej w ten sposób... A prawa ręka niech pani  
się bawi włosami, ... naturalnie trzeba  
je porzucić... Tak, tak, dobrze... Proszę ra-  
mie nieco wyżej. (dotyka się jej ramienia)

Julia: Panu tak ręka drży, panie Stanisławie!

Stanis: (wymiatając) To od pracy... od długiej pracy...  
O, tak jak pani teraz leży — przesłownie!

Julia (ogląda materję kostiumu; podnosi w górę i  
równowadzi) Za krótki trochę, pan musi go  
dać wzdłużyć.

Stau: Karz inny probie, ten ordynarny, sroetki,  
pau pau pewnie siato. Gdybym wiezial,  
ze go pau nosic bedie, bytby go utkali karat  
z nitek pajzurych i poprretykali stotem!

Julia: Ja nie chce, reby pau sobie robil z powodu  
mnie wydatki. Materya bardzo tanna, srko.  
Da jej, niech jwi lepiej rostanie tak, jak jest.

Stau: <sup>(z rozpacza)</sup> W karitem stowie pau tyle stotywy, tyle por.  
kornego wrotku!

Julia (z wyprutek) Proszę mnie nie karcić komple.  
mentauis, pauie Stauistawie!

Stau: (nauistwie) Klus sie na wyrystkie swygotosci, ze  
omdlewam z upojenia i jeli pau nie porwoli, ma.  
Towai swojej rorki, nie wytrzymam, rzgins, o.  
szaleje! (chwytla gwałtownie jej rorkę i nauistwie  
satuje)

Julia: (troche gniewnie) Pauie! ja nie porwalam!

Niech pan ... niech pan próbuje szkice na proste,  
robacze, czy mi będzie wygodnie w tej pozycji.

Stanis: (z rękawem) Pani mnie odprostrze? ... (Rozpinie  
karton) Niech pani utory jak przestętu swoje  
ciato ... o ile! (chce poprawić) nie tak!

Julia: Ależ ja żyję więcej, niech pan Rytko rysuje.

Stanis: (zaczyna rysować, ale patrzy ciągle na Julię)  
Proszę spokojnie leżeć, to chwilkę potrwa (ry-  
suje, patrzy miję się co chwila i patrzy prze-  
ciągłe i namiętne na Julię)

Julia: Pan więcej na mnie patrzy, niż na papier.

Stanis: Zaraz, zaraz ... nie mogę spokojnie ...

Julia: Proszę przestać rysować, bo mnie żyć zaczął boli.

Stanis: (wraca słowem) Nie, nie mogę w żadnym sposób  
... ręka mi drży ... ja nie będę panu malować!  
(wraca się do jej nog; bardzo namiętne) Nie,  
godnym panu malować, niegodnym, żeby

mi panu stwiyła porowata! Raczey powinno  
 nam lerci' tu u stop panu jak pies, jak miwol-  
 nik i catowaci' te cudne norki... (catuje namist-  
 nie to nogi, to rze), te rzytki, i sieraci' usta.  
 mi wonny proch z tych krewietkow! O, panu  
 panno Julio, jaki awist' sprowadzit' cię do me-  
 go domu?!

Julia (opierając się i dyjąc) Panie Stanisławie, gdzie-  
 wam się na pana! Pan się zapomina!

Stan: Nie lekam się jwi niczego! panu musi mi  
 porwolic, bo ja inaczey pwarzuję - cuję, że  
 pwarzuję!

Julia: Pan nieprzytomny!

Stanis: Tak jest, nieprzytomny jestem, bo trudno  
 mim nie być jakry łobie, najtostora, najdro-  
 sra Julewko! Ja się kocham, stysryst, za cię  
 winiekle kocham, że mnie pmyły opuszcza-



ja, ja konam u twych nog z szaloney portkory i ino:  
prawni!

Julia (Kłunię namięstwi) Niech pan wstanie, ja pana  
bardzo proszę... ktoś może wejść!

Stanis: (biegnie szybko ku drzwiom, ramyka) Łauku,  
tem, łauku, tem jiri, nie lekaj się!... (wruca  
się ręką do jej nog) O, porwól, porwól mi to  
twoje portkorsne piato catowai ar do ruzirenia,  
do konia pypia, jerrer wicernoi!... (obejmuje  
ją i catuje namięstwie)

Julia: Aler jiri dosyć! (obejmuje ramieniem jego rękę)

Stanis: (upojony) O Bore, Bore!...

Julia: Jaki pan piękny w tej gorączce! (bawi się  
jego włosami)

Stanis: Najśłotera, najukochaniera szeweryno!

Julia: Panie Stanisławie, ja proszę... (chce się uwolnić)

Stanis: O jerrere, jerrere! (catuje ją namięstwie)

Julia (uwalnia się raptownie z uścisku jego ramion, ucieka do drugiego pokoju i ramyka się)

Stan: (stoi chwilę oszpecony, nieprzytomny - potem biegnie ku drzwiom i próbuje otworzyć; błagalnie) Proszę otworzyć!

Julia: Za chwilę!

Stanis: Proszę Ferar.

Julia: Niech pan poczeka, zaraz będę ubrana

Stanis: Jaka pani okrutna!

Julia: A pan zbyt gorący!

Stan: (biegnie słowami czas porgorzotkowany po pokoju, staje pod drzwiami, spogląda przez szpiłkę od klucza - znów biegnie).

Julia (wchodzi ubrana jak na początek) Jwi jestem, w Ferar - regram pana.

Stan: Pani jwi odchodzi? Aler...

Julia: Muszę.

Stan: Jak to Czy panu tak spieszno do domu?

Julia (ze smutkiem) O, nie do domu, ja do domu nie mam.

Stan: Jak to panu porumnie?

Julia: Mierzkam u ludzi puppetnie mi obcyh.

Stan: (silnie wzruszony) Panno Julio!

Julia: Czego pan chce?

Stan: W tem mierzkaniu panu zawsze muze miec fary sobie kogos, który odruje karte, najslabsze nawet drgnienie duszy panu i postara sie oslobic ci zycie tak, jak tytko sily jego ma to mu pozwol. Panno Julio, zostań panu u mnie!

Julia (zawstydzona, cicho) Nie moria, mój panie!

Stan: Czy lekaw się głupiej opinii ludzi?

Julia: Nie moria, powtarzam

Stanis: Dlaczego na Boga!?

Julia: Pan jesteś bardzo gorący!

Stanis: Będę się starał być piwnym, jak lot! No proszę!

Julia <sup>(dygony)</sup>: Drisnąj nie morisz.

Stanis: (prędko) Kiedyś kiedyś? Kiedy? Jutro...  
jutro panu jaryjdrze?

Julia (cicho, rawstydr.) Jeśli pan piztaw, to przyjdź.

Stan: Ja panis, na klgerkach o to błagam, przyjdź  
pani!

Julia (cicho) Przyjdź - a teraz dowidzenia się. (wofa  
się i otwiera drzwi na klucz panuknięte)

Stanis: (chwycił ją za rękę i całuje namiętnie) Dris-  
ki, stołrośne driski! (Julia wychodzi, Sta-  
nisław stoi chwile osrotomiony, nieporadny,  
chwycił następnie prędko kapelusz i wybiegł  
Kurdyna)

Koniec aktu drugiego.

## Akt III.

Scena jak w akcie drugim; w urządzeniu pokoju pana i jego kobiecie; wzorowy porządek. Sztalugi pastonigte na boku. Józef z rajsty rozwieszona u obrarów, które z zrafi kędzi wydobywa; pokój przypinuje powierchowość wystawy obrarów.

Józef: (ku otwartym drzwiom) No, panie Maryanno, na chwileczkę!

Maryanna: (stając tuż przy drzwiach) Nie mogę, panie Józefie, doprawdy, nie mogę.

Józef: E, to się tylko tak mówi. Niech się panna nie boi, nie ma, nigdy.

Maryan: Ale może pan nadzieję, niechce.

Józef: Coby miał nadzieję? Nikt mi przyjdzie, daje panie Maryannie słowo. A gdyby nawet, to i co w tem stego.

Maryan: Ale nie wypada, mógłby kto myśleć Bóg wie, co.

Józef: Co tam prawni, niest mi nie bydzie myslat. (Wzbi-  
ra sie ku niej) No, prawni Marysini, jak prawni  
Marysini Kocham. E

Marysini: (powoli wchodzi, Józef chce dretis prawni). Niech  
pan Józef tylko nie prawni, bo i Fej chutis otaje.  
(wfa sie)

Józef: No to nie prawni (obejmuje ja) ale pocatowai  
wolno?

Marysini: (wzbraniajusc sie) Nie wolno!

Józef (catuje ja) A widri prawni Marysini, ze wolno.

Marysini: A bo i prawni Józefa toli pberczinik!

Józef: Le mnie? E, gdric tam! Nie prawni prawni  
Marysini w zwetle niestis! Prawda, ze bylo po  
prawni? Okocini, serdelki, byndra, - prawda, ze  
bylo wybosne?

Marysini: Co tam, nar sie tylko pbarryto i Fyle. Nie ma  
sie cren chwalic doprawdy.



Józef: Będzie przyniej, będzie przyniej, stowo honoru daje. Mój  
pan teraz bardzo galancki, obywatki są częste i grube.  
Lobowu panna Maryanna, dziś wieczór będzie kwarta  
jeszcze wspanialsza od tańcej.

Maryan: Skąd to pan pana Józefa będzie tyle przemierzy,  
że panu Józefowi się gubieny daje na Fryngiel?

Józef: Skąd? Maluje, to pewnie mu płacą, choć prawda  
mówię, to w ostatnich czasach nie mi <sup>robi</sup> maluje,  
tylko fuwł pięści to swoja panna.

Maryan: Bardzo się kochają?

Józef: A pewnie, kiedy się sięgła całują i ściskają, że się  
pardrosi' er to wiekowi. Ja tam stwo swoja droga  
nie widzę, bo mnie zawsze pan Gdriś wyżyła,  
ale jak tak czasem Trafis, ho, ho, nie jedno  
się tam i widzi! (śmieje się)

Maryan: A co takiego?

Józef (śmieje się) Co? A powiedzi' panie Maryannie,

co?

Maryan: Jak co nieladnego, To nie chej wcale wieścić!

Józef (j.d.) Coś nieladnego! ha... ha... ha! To bardzo ładne,

to śliczne, powiatam pannie Marysi!

Maryan (uciekając): To niechre pan Józef powie.

Józef (obłira się z uśmiechem lubieżnym na twarzy): Ale co.

Luska przestę, dobre?

Maryan: Nie chej, najpierw niech pan Józef powie.

Józef: A kiedy właśnie najpierw chej ratunka.

Maryan (cofa się): No to ja powię niechre.

Józef: To nie powiem (wszaka to roboty, trochę sty.)

Maryan: Tta panna tak cięgle tu przesiaduje?

Józef: A no przecież ma swój pokój osobny, ten drugi.

Tu niechre, je, no i śpi takre ha... ha... ha!

Maryan: Ze się ter oni nie wstydzą tak parcom, misz:

koi ber ślubu.

Józef: A co' wtem ptego? Hoho, lwi to jest takich,

co na wiare pyja.

Mar: E, To biedni ludzie, ale żeby taki jaan, taki porządny  
jaan, jak pan Stanisław... nigdy bym sobie nie  
pomyślała.

Józef: To wszystko jedno, taki czy owaki. Dobrze im jest  
z tem i basta.

Mar: Ale nieladnie, panie Józefo. Zabył miły nie  
chciała tak być z niecierpca.

Józef: Panna Maryanna nie wie jeszcze jak to przy-  
jemnie. Gdyby panna tylko spróbowała, nie  
wystrębiłaby się tego tak bardzo.

Mar: Ja już tam nie chce tego próbować. Bez świętego  
błogostawieństwa w kościele nie chce, nie!

Józef: (przedko, z głupią fraut) A to mówięmy wrzecz o ślub,  
ja się tam pnow nie będę upierał.

Maryan: Aha, tak przedko? A pytał się mnie pan Józef,  
czy ja panna chce? Masz (obraziona) Masz go, tak

nagle rachiewa się panu nie wieścić czego!

Józef: Kiechże się tylko panna Maryanna na mnie nie gniewa, bo ja panu bardzo lubię, stowo honestu pannie Marysi toż.

Mar: Ja wiem, tak wrybnie inspiryng mówię, a potem unieseręśliwizja biedne kreiwogto.

Józef: O, ja jestem winy, panno Marysiu, zapętnie winy, panna Marysia mnie jeszcze mierna.

Mar: A to musie pana Józefa przedtem lepiej poznać, a potem to pouiwimy.

Józef: Kiej panna Marysia koniecznie tak chce, to moiemu porzekaj, tylko nie stugo.

Mar: Szieszy się panu Józefowi bardzo?

Józef: Tak jeszcze! (idzie do drugiego pokoju, przy nosi galęzki choiny i racyna niemi opina rany drzwi.)

Mar: A to poco?

Józef: (Pojemniwo) To sekret.

Marta: A prawda, 'dris' siviety Stanislaw, mircunij pana!

Józef: A jakre, Marysia pgała. To panna Julia, co to jest niy teraz moja panis, karata mi to wystroni, a sama posrta po kwiaty, more rakar nadejdie.

Marta: A to ja pojde, bo mi chciałabym jej spotkać.

Józef: Ale niechre je Marysia jesure pacetka, prreier jesure nie idzie.

Marta: Kiedy more nadejdie, a ja niechciałabym, bo to po prawicie, ja jej nie lubie bo to takie prre-siatywanie na wiare.

Józef: I ktoby se co tam z tego robić.

Marta: Toż jwi, adii panu Józefowi!

Józef: Catuje tapki, panny Marysi. A niechta panus Marysia sie przerychtuje na wieczór!

Marta: (wychodząc) Dobrze, dżiśkujś.

Józef (usiłując się do siebie i dalej rozmija się z racją  
pracy; po chwili wychodzi Julia)

Julia (cichy, rozglądając się) Panna jeszcze nie ma?

Józef: A nie ma, proszę pani.

Julia (mówi w stronę przedpokojni) Dajcie te kwiaty.  
(Dwa sługi wnoszą wazoniki i bukiety i sta-  
wiają na stole; Julia im daje pięć groszy - odcho-  
dzi.) Czy wszystko gotowe? (rozgląda się po sio-  
nach)

Józef: Zrobiliem, co pani kazała.

Julia: To dobrze. Teraz przyniesiemy te kwiaty.  
Józef już wie, tak jak mu wesołej powieścią  
tam. (ustawiają w sposób malowniczy, na róż-  
nych przedmiotach) Nie był tu kto?

Józef: Nikt nie był, proszę pani.

Julia: Może Józef pamięta, że pan dziś kartęgo  
przyjmie.



Józef: Dobrze, faworsz panu. (Stawiając na stole kwiaty, wybiega z faworsz, więc ptóśno) A tu jeszcze jeden obrar, powieści go? (podaje go Julii)

Julia: (ogląda) Same very... takie drzewo... Obrar to jedno raczty... no, ale nie nie wzdobi. Niech go Józef powieści tam naprzeciwko, tam jeszcze jest miejsce.

Józef (również obrar) Jui, proszę panu.

Julia: Tak, toby było wszystko. (biegnie ku oknu i wybiega; nie widac go jeszcze, powinnu racz nadzieje: Czyjmy nie zapomnieli czego?)

Józef (rozgląda się) Chyba, że nie. Nie sobie więcej nie przypominam.

Julia (zadowolona). Prawda, że łatwo pokój wygląda?

Józef: A i bardzo łatwo. Pan się nieśny, jak robaczy.

Julia (biegnie równo do okna) Jeszcze go nie widac!

Józef: (nadśleduje) Zdaje mi się, że wście.

Julia: Idzie, idzie! (stara się uspokoić, staje przy oknie i patrzy w drzwi. Józef wychodzi)

Stanis: (wchodzi po chwili, kroczy nie w humorze. Staje, msta odwrócony, rozgląda się) A to co?

Julia: (pruca mu się gwałtownie na szyję) To dla mego najdroższego Stasia!

Stan: Stotka Julko! (namiętnie ją całuje przez chwiej)

Julia: Gniewałeś się na mnie prawo, myślałeś, że zapomniatam.

Stanis: Przebac mi najproszę, przykroci ci probitem. Przebac mi, przebac powytko! (robiszciach ciągnie ją ku sofie i tam ją tuli namiętnie).

Julia (całując go równier): Mogłeś przypuścić?...

Stan: Darujesz mi, prawda? Nie mogłem się uwolnić od tej przykłej myśli, że zapomniatam o mnie. Nie duiw się, nie samwarylem ani jednej orna. Ki paniszi... ogromnie miuc to rabolato! Ale

Teraz, moja najstarsza, Teraz mi Postokroćnie odpła-  
caś.

Julia: Chciałam ci probie' niepotrzebnie, a Tak wreszcie  
nie mogłam

Stan: Droga Siewczyno! A prawda, skąd wzięłaś pieniądze,  
Sre.?

Julia: Miałam coś swojego.

Stan: Jakaś ty dobra! Czem ja ci mam wynagrodzić  
to wstytko?

Julia: Pocatunkami.

Stan: O Tak, pocatunkami, bo to najstarsze, najdro-  
sze, czem porporządnie' mówimy. (bierze ją na  
kolana i całuje namiętnie) Kie masz pojścia,  
jak ja się szalenie Kocham, moja Juliu! Tyś  
mi się tak wzięła u moją duszę, że nie mogę  
sobie nawet wyobrazić pycia bez siebie.... A Ty  
mnie bardzo Kochasz?

Julia: Bratnie!

Stan: Moja Ty siostrka sanna! Moje Ty bratnie, moje  
rycie!...

Julia: Królu mój, jam twoga meivolnia!

Stan: Żeby tak cote rycie paubkusi s tym jedynym  
usiisku!

Julia: Jam wicrusie twoga! (caciye go)

Stanis: Najdrozora! (pauca; siostra, cisi, stuleni.-

Ktoś odchyła; przymyka puor drzwi - Stan.  
się rzywa) Co to?

Józef (pokazuje się w drzwiach mieszniato)

Joti Stan: A wejście!... Cór mi powier?

Józef (ubranym s wiszczernie wchodzi mieszniato, kła-  
nia się i obraca kapelusz w rękę) A bo, pro-  
szę Wielmożnego pana... (kłaunia się) pro-  
szam, wielmożnego pana, że dopiero te-  
raz przychość, ale bo to tego... nie mógłem

zaczynaj. Jako to Kris mamy świętego Stanisława, patrona wielmożnego pana, tedy się, co Wielmożnemu panu wszelkiego szczęścia, zdrowia, wielkiej fortuny, miłości i wspaniałego dobrego, czego sobie tylko wielmożny pan sam życzy... i żeby wielmożny pan żył setki lat i żeby...

Stanis: No dosyć już tego, dosyć. Gdyby się tylko czegoś twoich życzeń spełniło, byłbym zupełnie zadowolony. (siotka mu rękę) Pristknij i bardzo mój kochany Józefie, dobry i ciekawy chłopak (daje mu piecuś) Upij się za moje zdrowie, tylko mi wracaj na noc do domu, nie jak ostatnim razem.

Józef (całuje jego i Julię w rękę i wychodzi kłaniając się)

Julia: Jak ciębie wspaniale kochają.

Stanis: Dobry chłopak, lubię go.

Julia: Zamiasť brať tiež pobavunki, keďže sa je sam  
mým.

Stan: O, bo jstsem srugšlivi, bardzo srugšlivi. (máta  
javry niej) Gdybym miał skarby całego świata,  
wodałbym jej tiež wrystkuin, a najwięcej Tobie,  
najstodra! (Zuli ja.)

Julia: A gdybym ja miała do ciebie proste, spełnitbyś  
ja?

Stan: (jętko) Co tylko w mojej mocy, moir, moir  
jętko, wrytko probie.

Julia: Witrisk to obrary Twoje Turrowicorone?

Stan: Tak, ale...

Julia: Starrego mi nie malujesz od czasu, kiedy  
mnie poruates? Wszak po to przybyłam  
do ciebie, żeby ci pomóże w pracy - a tyś re-  
petnie o niej zapomniat. Przyprzekasz, że  
jeś w zapomniess od jutra?



Stan: (opuszcza głowę na tylnie oparcie kanapy) pochwili)  
Nie mogę.

Julia: Nie mówisz? Jak to? czemu byś nie mógł? Jeśli  
Tylko chcesz...

Stan: Daję ci słowo, że nie mogę.

Julia: Nie porozumiem się; czybyś ja miała wpłynąć  
na ciebie? Tak nie mów!

Stan: <sup>(Był temu)</sup> (Nie mów, nie...)

Julia: Dlaczego sławę nie mówisz?

Stan: Sam nie wiem... ale widziałem, w duszy mojej  
raptem odżyły czerny, natężenie, ogień, wstępy.  
Ako to rzekłoby odżyły ciebie porwałem; Teraz  
nie mogę zdobyć się na pracę.

Julia: Odżyły mnie porwałem? Dlaczego ja zgasiłam w Tobie  
to iskro święta...

Stan: Chciej mnie zrozumieć, moja droga, Był temu  
nie niewinna... Kiedy się pokochaliśmy, cała moja

Justa wypetuliła się jednym ogromnym nerwem sta  
ciebie tak, że niema w niej miejsca na co innego.

(Julia) Ja ciebie tak bardzo Kocham, że nie mogę o wra-  
żeniu myśleć... że nie mogę ani odrobiny woli mi  
siły do pracy.

Julia: Ale pomyśl, że morze robie przez to stonai ca-  
te życie, jesti narucisz prace. Ja wiem, że ty do  
wielkich pracy stworzony, że świat na ciebie li-  
czy. Nie powinienes się stwiej ramiem bywai! Mu-  
sisz się robraci ~~do pracy~~ natychmiast do obraru,  
który niedczni twoje imię.

Stanis: Nie mów mi o tem teraz, moja droga. Powia-  
dam ci, że jestem niezdolny do jakiegokolwiek pracy.  
Morze za miesiąc, za dwa, przędrej być mógł,  
ale nie dziś. Teraz mam ciebie i tylko o Tobie  
myśleć pragnę. (całuje ją).

Julia: Obok pracy porostanie nam zawsze dosyć czasu

na miłość:

Stanis: (z wpatrowaniem i namiętnością) Kiedy ja nie chcę porzucić  
 dnia miłej pracy i miłości! Chęć kochać cię, głę-  
 boko, namiętnie i szczerze i aże chwilkę nie darować  
 tego upajającego uśmiechu, które mi przerepała  
 wszystkie fibry duszy. Jesteś moja, a odkaż się  
 mi, wróć się we mnie coraz więcej i wię-  
 cej, stoję się z kartą i ducim stać mi bardzo  
 upragnioną, z każdą chwilą budzić się wia-  
 rydłowość w moim wyprężeniu tonie! W tym wiel-  
 kiej ucieczce i ucieczce, to prawda, ale  
 też i straszliwa, boska pokora, której za mi-  
 łość i miłość nie oddam, ani za skarby, ani za sta-  
 ność, ani za sztukę! (namiętnie ją tuli i całuje)

Julia: (namiętnie, wpijając się w niego swymi ustami) Drogi,  
 Drogi!

Stanis: Mój aniele!... Gdzie ty moja!...

Julia: Kochanku! (spleceni usciskeim spusceraja w owle  
 niu głowy w byt. Oko Stanisława błędi po sklepie-  
 niu i seraniu przeciwnieję i pada na portret  
 rączę Eulii. Twolna porporuaje go, strach  
 maluje się w jego twarzy, skrywa się raptownie,  
 pruća się naprót; raktroywa porparlinie ocy;  
 chrapliwym, przywironym głosem) Te ocy!..  
 Te ocy!..

Julia (prerazona rzywa się ramini) Co ci jest?... Co  
 się stało?

Stau: (patry prerazonu; niepokojnie) Nic, nic.

Julia: Tak strasznie patrytes!... prelektam się.

Stau: (z ste rajonym spokojem) Tyś dobra... nie bój się  
 ... nic, ni ju!

Julia: Pewnie sobie coś przypominates.

Stau (z błędnem spojreniem) Tak... Tak... stawato  
 mi się tytko...

Julia: Fiedy ja widzę, żeś ty dalej niepokojny... Tobie musi coś być!

Stan: (malowry ze sobą) Ależ nie, nie. (Biegnie po pokój, pochwili chwycił kapelusz, ale puścił go z rąk)

Julia: Stasiu, na miłosi' Boska, czemuś taki niepokojny? Czyś może chory?

Stanis: (gwalt.) Nie chorym, nie, nie, ja'm podoł pupelnie, całkiem podoł jestem, jak nigdy! (chwycił się za głowę i uspokaja się powoli)

Julia: Wzi' coś ci takiego?

Stan: Już nie, nie... Przypomniał mi... poco, poco mi przypomniała Terka, dziś właśnie...

Julia: Ależ musiałam przecier, uwarata'm to za swój obowiązek... przeremie nie nie pracujesz!

Stan: Ależ nie, nie...

Julia: O Baku! Sam się ranił pokoiłes' swoją bezczynno'cią. Ja na to nie mogę dłużej pozwolić, odejść od

ciebie i porwiesz ci ręce w ten sposób.

Stan: (gwalt.) Co? co mówisz?!  
(stalowers)

Julia: Jutro się stąd wyprowadzę, tak będzie najlepiej.  
Będzie przychodziła codziennie ci porować, a wtedy  
będziemy się mogli do syta nacieszyć sobą.

Stan: (j. u.) Nie, ja na to nie pozwolę, ty u mnie zostaniesz, tyś moja, ja ciebie stąd nie wypuszczę.  
Nigdy, nigdy cię nie puszcę!

Julia (smutnie) Przecisz się to raz i tak skonczę jenni.

Stan (stłonie) Le śmiercią!

Julia (ciszej) O nie ze śmiercią, ... wkrótce się skonczę.  
Ty się orenisz, a ja ... ja wtedy będę musiała odejść.  
Wolę wreszcie się oddać.

Stan: Szalona! ... co ci się poi ... co mówisz?!  
(stłonie)

Julia: Le mna się nie orenisz.

Stan (gwalt.) Jeśli nie z toba, to z rąbka, z rąbka się nie orenisz, czy słyszyś?!  
(stłonie)



Julia: Ja nie jestem dla siebie, rano kusiłabym ci drogę na przystawie, nie myśl nawet o tem.

Stan (namieszka) My się już nigdy nie poróżnimy, nigdy, nigdy przez całą życie.

Julia <sup>(b. smut.)</sup> Wreszcie, czy później was ma to przysiębie, ja to wiem - i przysię powiniem.

Stan: Powiniem? Dlaczego?...

Julia (j. u.) I tak, stricweryna jak ja, nie reńis się tacy jak ty wielcy ludzie! Co ci ja das' moze, skoro pamiętają się natychmiast do pracy, ubierają się i podcinają ci skarytła, którym przernaczone było nieśi się pod samo stonice?...

Stanis. (niespokojny) Brednie, moja droga, chcesz mnie tylko nastraszyć, chcesz mnie przenieść do pracy i drwinisz mnie blaskiem stawy i własnym oddaleniem się.

Julia: (porzywieciem) O nie, mówię to szczerze, mówię, bo

niem, nie stworzony do wielkich rzeczy, że ma  
talent ogromny. Mówili mi to dwój przypaści.

Stanis. (prętko) Kto mówił?

Julia: Pan Ludwik mi powiedział, że maś, ścieło stru-  
ry, które —

Stanis. (niepokojnie chwytając ją za rękę) Ludwik? Skąd  
ty do Ludwika?... Gdzieś go widziała?... był  
tu?... kiedy? Mów, mów prędkiej, gdzieś się  
z nim widziała!

Julia: Cemu się tak gniewasz? Wprawdzie mi ka-  
pateś nikogo nie przypinował, ale w swojej nie-  
obecności wpadł wroczaj nagle do pokoju i nie  
mogłam go zatrzymać.

Stanis. (dręko) Cemuś mi tego nie powiedziała zaraz?

Julia: Nie miałam sposobności, ale ci teraz przecież  
mówię! Nie maś powodu wcale gniewać się  
na mnie, on ci bardzo dobre rzeczy.

Stan (pauzując się) Tobie! wiec, wiec! Czy byś sługa?

Julia: I gdzieś more.

Stan: Ty mi poradził, żebyś się stąd wyprowadziła?

Czy prawda?!

Julia: O nie, to jiri mój własny pomysł. On nawet nie wie, że ja tu mieszkam. Myślał, że przystaną powai i czekać na siebie.

Stanis. <sup>nieśpokojnie</sup> (nieśpokojnie) Pytał się o obrac?

Julia: Tak, ale odpowiedziałam, że zabroniłeś go pokazy-  
wai i mówić o nim.

Stan: (spokojnie jiri) No, to dobre probitai (chodź spokojnie)

Julia: Ale na przystość odkryje mi całą prawdę, jeśli się na sergo nie zabierzesz do pracy...

Stan: (po chwili, powoli) Trzeba się zabrac! Tak, Trze-  
ba, ale ty tu zostań, nie wyjdź ani za  
prog, Ty u mnie będziesz ciągle, zawsze..

Julia (rozpromieniona) Wzię będziesz pracować? Ja

Kis'ly dobry, ... jak ja cię puścił Teraz Kocham ...  
 ubóstwiam. (kręca mu się na szyję) Teraz bydlęcy  
 żywi spokojni i wzywajmy sergicia tego ostatnie-  
 go dnia, który przernocujemy wytoczyć na na-  
 sę miłości. (całuje go)

Stau: Droga! (chwila, ktoś puka; Stauis puścra  
 Julia)

Julia: (porządkuje włosy) Proszę!

Ludwik (wchodzi <sup>intak się</sup>) No przecier cię par pastatem. Seruus,  
 jak się masz. (do Julii) Widz, że pani mnie uprze-  
 dziła; chciałem być pierwszym, który słoi Staukowi  
 rygienia, a pani to ueryniła jwi zapewne przestemna.

Julia (z uśmiechem) Czy nie jest to przestewrystkicin ob-  
 wipkiein pomocnicy wobec swego sturbotawcy?

Ja i Józef byliśmy pierwsi.

Ludwik: Wzię ja kreci? (do Stauis) ~~Stau~~ Perryppin <sup>zatem</sup> moje ryde-  
 ma serdeczne i jierre kogos arwariego, który mi po-

lecit ci je ptoryj:

Stan (niepokojny) Dżykuję, dżykuję ci, ale... kto taki?

Ludwik: Cóż to, nie dowiedziałeś się? Milka. Niezmiernie jest na ciebie porzuciwana, że się nie nie pokarujesz, lekkaś się, żeś może chory, ale ja uspokoiłem, skoro się wierzaj dowiedzieliem, żeś zupełnie zdrowy. Pewnie wcale nie wiesz, że tu wierzaj byłem. Od dwóch tygodni codziennie prawie szturmuje do dwyer drzwi, a ani razu <sup>sic</sup> nie otwarty się jakby żalite. Czyż się obracał przez cały ten czas? Ani cię w domu nie było, ani u nas? Milka po prostu w rozpaczy! (śmieję się)

Stanis. (b. niepokojny) Byłem rajety... nie mógłem... przepraszam cię bardzo...

Ludwik: Podobno Laita Twoja jui na ukonieczniu? Panna Julia mówiła mi, o niej wierzaj tak fajemnie, że przypuszczam, że wypadła wyjmienie.

Stasior. (czar bardziej niespokojny az ku Koncowi sceny). Tak...  
 wlasnie... Tego... jeszcze nie wiele... ale skrocie...

Ludwik: No, ale pracujesz nad nim juz, To i To dobre.

Stan: Bytem wam murem rajsty... nie moglem juzo...

Julia: Dotyd praca wta, co prawda, troche spieszala,  
 ale umowilismy sie ze Stasiem, ze od jutra zca-  
 la energia przystapiemy do dzieła

Ludwik (zdrwiony do Julii) Widzę, ze państwo zaporna-  
 liscie sie ze sobą bardzo blizko.

Julia (zakłopotana) Co drwinego... wspólna praca...

Pan miema pojęcia, jak panu jestem wdzięczna,  
 ze pan mnie porwał ze Stasiem! Jestem teraz  
 bardzo szczęliwa!

Stan: (przedko) Tak jest, panna Julia z nierwykłym zapa-  
 tem poświęca się sztuce.

Ludwik (niecnie dotknięty) To mnie cieszy... hm... bardzo  
 mnie to cieszy. (rozgląda się) Ktoż To Tak wspomina



le jakój, udekorować?

Julia (śmieje się) A ja. Coś, czy małe guście?

Ludwik: Bardzo ładnie... bardzo ładnie... (przygląda się bliżej obrazowi) Twoja najlepsza praca!... A co to? Prawda, to ten pacyty portret Milki. Nie koniecznie go?

Stan: Jeszcze mi mógłby (zobiera się niespokojnie ku obrazowi).

Julia: Ktoś to ja Milka?

Ludwik: Siostra moja, a to jej sery.

Julia: Takie dziwne!

Ludwik: Ale ładne, jak sua ceta... prawda Karol?

Stanis: (mechanicznie) Prawda... istocie... Tak...

Ludwik: Ciemni taki matowisty drzew? Byłoby prawda nie tak pochwypany, samo jej miś elektrykowane cis, a teraz...

Stan (prerywa) Tak, tak, słuchajno... miałem ciś o coś ra

pytani...

Ludwik: No, no, chętnie ci sturis. Mójś by być pierwszy, że  
cięgle tylko o sobie myśli i coś ciennie porokuje  
kwesto przybycia.

Stanis: (wymijajaco) Własnie to... o cwi ja to chciatem  
cie ropytaci? ... Prawda, co stychaci z Górkami?  
Przyjechał jiri?

Ludwik: Ano przyjechał, more tu nawet dziś bydzie.

Stanis: (nerwowo) Tak... tak... To dobre. A renta? ... co z rento,  
stychaci? Opowiedz mi josi o puajomnych,  
kawno jiri nie miatem wiadomosci.

Ludwik: A cwi ja ci powiem? Barkowski się pakochad,  
co byto do przewitzenia...

Stanis: (nerwowo) Tak, Tak... a inini?

Ludwik: No, Derstkiego djabli wrisli.

Stanis: (mechanicznie powtarza) Djabli wrisli... (zpo-  
stręga się) Jak to, djabli wrisli?

Ludwik: Władzili go do kory, bo podobno pokradł książki z jakiejś biblioteki. Spruja skończony! Dobrze, jesteśmy się go na czas porobili!

Stanis: Nikeremnik!... Coś jeszcze nowego?

Ludwik: A bo ja wiem!... (jeauwa) Prawda, to się bę-  
dnie interesowało. Ten doktor Minski, co to u nas by-  
wa, został prawniczym docentem.

Stanis: Tak... hm... pewnie twój ojciec...?

Ludwik: Lubię się, bo go bardzo lubi... co wieczór go zaprasza  
Minski jest robotnikiem u nas gościem.

Stanis: Tak... robotnikiem gościem...

Ludwik: O ile mógłbym prawniczym nie bywa bez celu u nas...  
widuje mi się, że ma jakiegoś prawniczy i że ojciec  
mu sprzyja...

Stanis: (b. niepokojny) Tak, tak... (chwytka się na czoło)  
To było, było nowego... mi więcej; a no dobrze (b. ciem-  
ny) kapelusz + że jak gdyby chciał odejść)

Ludwik: Dwieście godzin?

Stan: (goryżkowo) Chciałem, tak, chciałem się porządkować.

Ludwik: To próżniacy mówią że trójka, jest bardzo ładnie

Stan: (do Julii) Nie, Ty zostań... reszta... reszta  
i ja nie pójdę (wraca kapelusz)

Ludwik: Jesteś jakiś zdenerwowany.

Stan: Tak... jestem... rozumiem... głowa mi się boli.

Julia (Przeklęcie) Mówi się półtora trójka?

Stan: Tak, lepiej będzie, półtora się.

Ludw: Dobrze próbuj, jeśli wypoczniesz. (do Julii) Czy pani też chce iść do domu?

Julia (zapłocowana) Ja?.. nie, ja jeszcze zostanę.

Ludw: Moglibyśmy pójść razem, odprowadziłby mnie panie, do domu.

Julia: Nie... kiedy...

Ludwik: No, jak pani chce. Dostrzeż się z panistwem.

(regia się; do Stan.) A Ty wstąpiłeś do nas. ~~(później)~~

Stan: Dobrze ... bardzo ... przysięga (Ludwik odchodzi - pauza)

Julia: Czy pojedziesz do niej? (patrzy mu w oczy)

Stan (zniepok.) Do niej? ... nie wiem ... zobacz...

Julia: Ona się robi, tak tylko interesuje ... pojedziesz do niej?

Stan (gniew.) Powiadam ci, że ... że nie wiem! Daj mi spokój!

Julia (cicho) Ona cię kocha!

Stan: Kocha, kocha ... ja wiem, że kocha... ja wiem, że jestem winien.

Julia (wzburzona) Ale i Ty ... Ty byłeś bardzo niespokojny, ... Tyś ją też kochał, prawda?

Stan (odwraca się szybko)

Julia (gniew.) Odpowiedz mi, kochałeś ją? ... A wiec...

Stan: (chwycił kapelusz i chce wyjść; Julia wstrzymała go.)

Godło: Ars longa.

Zeszyt II

"Dwie"  
Dramat współczesny  
w pięciu aktach.

(Ciąg dalszy).



Julia: Dostał bieżni? Zostaw... Tyś słaby, winienś w do-  
mu zostać.

Stan: (rozpaczliwie): Dzwierzyńno, dzwierzyńno, przestaj już,  
bo oszaleję!

Julia (przerazona): Głóś się, mój drogi, wypocznij, jesteś  
taki pdeenerwowany...

Stanis: (odkłada kapelusz i przyciska się na kanapę) Bore, Bore,  
Bore! Bore!

Julia (troskliwie i z lękiem): Czy mam zostać tu, czy odejść?

Stan: (słabo): Odejść! Zostaw mnie samego.

Julia (kładzie mu poduszkę pod głowę, satuje go w cioto i  
wchodzi na palcach do drugiego pokoju, który przy-  
myka.)

Stan: (po chwili podnosi się, siada, bije się z myślami, kwasy  
bólami wykrzyknia, w końcu wstaje, bierze kapelusz  
i cicho wychodzi)

Józef: (po chwili wchodzi głośno drzwi otwierając i przegląda  
się po pokoju.)

Julia (odchylając drzwi): Cicho Józefie, pauszi.

104.  
Józef: Pan przecież pośred.

Julia (wbiega, niespokojnie) Jaki to?

Józef: Ano, dopiero co pośred.

Julia: Dokąd?

Józef: A bo ja wiem.

Julia: (biegnie do okna i wyziera) Nie widai go już.

Józef: A bo pbiegł przódka re schodów.

Julia: Czy nie powieździad czego Józefowi?

Józef: Ani słówka. (pauza, po chwili Józef wychodzi).

Julia (stoi nieporadna, pełna tajemnej obawy, Fuarr boleśnie się jej kurczy; chytyła się za skrońce i głośnym wybuchem płacem padając na fotel. Kurczyła.)

Koniec aktu trzeciego.

## AKT IV.

Scena przedstawia ten sam pokój i panstwa Ka-  
rubskich, co w akcie pierwszym.

Emilia (chodzi niespokojnie po pokoju rozstrzygając na  
stopy chusteczki - wchodzi Zofia, jej matka.

Zofia: Dobrze byłoby przejsi' się dziś po parku, bardzo  
ładny dzień.

Emilia: (opryskliwie) Ja nie pójdę.

Zofia: Cemu?

Emilia: Nie chce mi się, nie pójdę.

Zofia: Ale trzeba skorzystać z tak pięknego czasu,  
pierwszy dzień prawdziwie majowy.

Emilia: Właśnie dlatego; wiosna się dopiero zaczyna,  
będzie dużo czasu na spacer.

Zofia: Ojciec pragnie tak bardzo przejsi' się, a jeemu to  
potrzebne...

Emilia: To matka może pojsi' z Tatem, ja postanę w domu!

Zofia: Coś ty matka dziś uparta? Oj rana takim jak  
struła i tak opryskliwie odpowiadać, jakby ci  
się, Bóg wie, co tego stało.

Emilia: (zła) O, daj mi matka spokój!

Zofia: Mogłabyś być trochę grzeczniejsza, tak stać się

106.

jak, dla innych. Doktor Miński tak jest prącony  
twojemu obejściem, że już nawet do nas przychodzić  
nie chce.

Emilia: Zawróć się konary na tym Mińskim! Mam go już  
po same uszy!

Zofia: Moja droga, ja ci bardzo proszę, żebyś o mnie mów-  
wiła z większym szacunkiem i oskarżwała mnie wię-  
cej wręglem.

Emilia: A!... pewnie...

Zofia: Ja ci to karę, rozumiesz!

Emilia: Ale ja tego nie próbuję, bo on... on dla mnie jest  
wstrętny!

Zofia: Ja ci powiadam, żeś głupia!

Emilia: Naturalnie, bo się nie staram o względy pana  
docenta (z naciskiem) Mińskiego, ha; ha; ha!

Zofia: Nie śmieć się! On się stara o twoją rękę, rozumiesz  
i jest wyjątkowa partya dla ciebie.

Emilia: Trzeba to z ust mamy postypać! Trzeba było czekać  
na to całe mięsięcie... Ja się już dawno tego domyśla-

Tam, to nie mówić stać mi.

Zofia: Skoro tak, to temu gorzej. Widać, że nie maś ani pa-  
grosz taktu.

Emilia: Mama może być pewna, że pa męgo nie wyjdzie.

Zofia: No, no, nie mów tego tak prosto, jeszcze się por-  
myśli.

Emilia: Miałam na to dosyć czasu.

Zofia: Widać widać, że byłeś głupia, skoro nie przypomniałaś to  
jeszcze do przekonania, że matricuśstwo to bydlę  
stać ciebie największym szerepciem.

Emilia: Chyba nie szerepciem!

Zofia: Doprawdy, że ja cię nie poznuję. Musiałoby ci się  
już zupełnie przewrócić w głowie, kiedy nie wi-  
dzisz tego, co karty widać i czego ci karta krewny  
na paroboci.

Emilia: Może Minskiego kartej odstąpić, wech sobie go  
wzrusz!

Zofia: To ksiąski's dowodrystwo w podrozi takiego stawa-  
Goryckiego zupełnie się już sglupity.

Emilia (b. p. denerwowana) Daj mi maama jiri par spokoj;  
bo naprawde pumpy strany! (wychodzi traskajac  
drzwiami)

Zofia: (patrzy na niej zdumiona) Skaramie bostkie z takimi  
drzewczynami! (idzie po niej)

Ludwik (wychodzi po chwili z kapeluszem w ruku, rozgląda  
się, idzie ku drugiej drzwiom i woła) Miłko!  
Miłko!... (odkłada kapelusz)

Emilia (wychodzi przeko, niespokojnie) Byłes' u mego?

Ludwik (zapalając papierosa) Byłem.

Emilia: Tro? mówites' miin? .. zastates' go? powiedzcie  
mi na miłosci' bostka wrystko?

Ludwik: Co (ocierając się nieco) Co' ci mam powiadzić?  
Byłem u mego, pogratulowałem mu...

Emilia (przeko i niespok.) Powiadzcie, klarczo tak długo  
u nas nie był?

Ludwik: Podobno był rajsty.

Emilia: Jakto? Tak, że nie mógł ani słowka o sobie powiedzieć  
Co' on takiego zrobił?



Ludwik: Tego nie wiem, zapewne malował.

Emilia: Laita gotowa?

Ludwik: (Przebiegła) To prawie właśnie, że nie.

Emilia: Wzięto, co on mógł zrobić? Może miły obraz, może (z błyskiem radości w oczach) ... może mój portret?

Ludwik: Nic podobnego nie widziałem. Laita, rękawem i jego modelką do Laity, pewnie teraz nie jest rajsty.

Emilia (prawnopokojowa) To przewyższe, o której mi wspominałeś?

Ludwik: Tak ... ona...

Emilia: Co ona u niego może zrobić mogła? W ścisłości chyba nie pracuje.

Ludwik: Spodkiewam się. Może przyszedł mi myśleć, że by mu powinszować!

Emilia: Takiej serdeczności nie przypuszczam.

Ludwik: No, no, kto wie. W kardym parcie mi przy mnie wielka przytębi, ile mogłem powarzyć.

Emilia (jakkby Ōkniŕta prreeruciem) Jak to?!

Ludwik: Ano bardzo serdecznie się względem siebie, mówią  
sobie po imieniu — zdaje mi się nawet, że oni się  
kochają.

Eustia (chwyla się za siebie) Więcej prawda! Przewnie  
mnie nie myliło... (upada powoli na fotel)

Ludwik: Ona bardzo piękna, namiętna, nie byłoby w tem  
nic dziwnego.

Emilia (jak do siebie) Takiego nie przypieczę... zapomniat,  
zapomniał zapomniat... (razyna włosy)

Ludwik: Widzę, że ci tem domieszczeniem wielka probitę  
prytkosi. Przepraszam cię, ale uwaratem za swój  
obowiazek powiadrici ci to.

Eustia (szlochajac) Moje sercie mu nie wystarcyto... posu-  
kad sobie, innej...

Ludwik (Ōkliwe) Nic powinnas sobie tego tak brai do serca,  
moja droga!

Eustia (j. s. do siebie) Ona namiętna, jak on... więcej sobie  
odpowiadaja... rozumieciu.

Ludwik: (kręci papierosa) More to miłość jego to mię jest  
 przemijającym tylko kaprysem... igrawka, na któ-  
 re my mężczyźni czasami sobie pozwalamy...

Antonia (wstaje, z pewnem rozżuciem się) Nie, to nie igrawka,  
 ja wiem, wiem, że on ją kocha. Dla mnie on już  
 stracony, przepadły już wszystkie marzenia!  
 (placze)

Ludwik: No, nie placz, nie placz! More się to wszystko  
 jeszcze naprawi, more on się jeszcze kocha. Kie-  
 dy mu mówitem o Tobie, był jakiś, denerwowa-  
 ny, niespokojny... miejmy nadzieję, że się opa-  
 mietła, i wróci i przeprosi się.

Antonia (z dumą) Przeprosi? O nie, nie pnaś mnie,  
 mnie on przeprosić nigdy nie zdola. Ja go ko-  
 cham, Kocham bardzo, ale on mi tak radras-  
 nadł że swoją zdradą serce, tak mnie obrzył,  
 że mu nigdy, nigdy tego nie przebacę!

Ludwik: Jeśli go kochasz, nie powinnaś go odrzucić,  
 z kiedy powróci.

Emilia: O nie! Taaka obelga jest silniejsza, nawet od śmierci. (z pewnością) Wciąż, co mam przynieść, wciąż, wciąż już teraz.

Ludwik: W kartym parcie winnaś się zastanowić —

Emilia: Nie wrywaj mnie do zastanowienia, nie namawiaj mnie, bo to daremne... serce mi mówi jak mam postąpić.

Ludwik: Jesteś poróżniona bardzo w tej chwili...

Emilia: Wciąż postaw mnie w spokoju... z sobą samą, z moim bólem... z moimi łzami (szlocha)

Ludwik: Jak chcesz. Ladaż, że po chwili ochłoniesz i sprawę lepiej rozważysz. (wychodzi)

Emilia (siedzi chwilę szlochając, potem wstaje, waha się, wyrzuciłszy ręce na jej twarz — ociera łzy, przystępuje do biurka i gotuje się do pisania zamysłiwym się na chwilę)

Stanis: (otwiera powoli drzwi, waha się, podchodzi cicho z głową spuszczoną i srepcę) Pani... Emilia...

Emilia (nagleownie powraca się ku niemu, chce podbiec)

Sta —! (wstrzymuje się) Pan... pan tu?

Stan: (cichy) To ja...

Eustia (dobywając się) Pan 'imiertes'... odwarzytes' się...

Stan: (j.w. drige) Preproszam... błagam o przebaczenie...

Eustia (słuchając z dręczeniem) Takich rzeczy się nie przebacza nigdy.

Stan: Nic mi nie mogłem przysięść; przysięgam, że mi nie mogłem.

Eustia: Wziem o tem, bo byłeś pan przed miem zapęty.

Stanis: Tak jest, pracowateu... (odwraca się)

Eustia (pewnie i silnie) Kłamstwo!

Stanis: (przeraził) Eustio, Eustio, jak mówisz...?

Eustia (stabilniej niż) Pan kłamiesz, nie mi pracowateu.

Stan: Skąd pan to wie, pani? mówię?

Eustia: Wziem. Laitę pan ledwie parafes'.

Stanis: (ledwie mogąc opanować niepokój) Robiłem co innego...

Eustia (drige) To prawda, piszcieś pan, może to Laity!

Stanis: (jak narony pada do jej nóg) Litosii, litosii!..

Eustia (z bólem) Litosii!... za politosii? wstrak ja pan

kocha, czego pan chce odmennie?

Stan: (wijąc się) Emilio!... panu!... ja nie błagam... nie wierzę,  
nieprawda... ja się kocham, ubóstwiam, ja ber nie  
bie, oralejs!

Emilia: <sup>(z rękawem)</sup> Miesiąc cały obszedł się pan ber odmennie, nawet pan  
nie wspomniat...

Stanis: Ty nie wier, ile ja o tobie myślałem, Ty tego wie,  
dziej, nie mówisz!

Emilia: To prawda i dlatego pan mnie może okłamywać  
do woli.

Stanis: Bore! Bore! czemu mnie panu drugocześ kartem  
swojem słowem?!

Emilia: Nie dam się okłamać! Perce moje wie, co o panu  
myślać. Pan przestajeś mnie kochać i śmieć jeszcze  
tu przychodzić, a żeby się naigrawać z mojej boleści.

Stan: Emiliu się panu matemu, razer mnie postuchac!  
ja panu kocham, przysięgam, i dlatego przycho-  
dzę i błagam panu o przebaczenie!

Emilia: Ile pan się wybratęś, wóć pan do tej, która kocha  
a która i pana pewnie kocha.



Stanis: (z wyśmiałkiem) Kiedy ja panis, panis kocham, tu mo-  
je miejsce przy tobie, bo tyś mnie przeważała se sobą,  
tobie miłości przysięgam, Twojej duszy, Twoim sercem  
nlegam jak niewolnik.

Emilia: Spójrz pan w nie śmiało! (Stan. próbuje i odwraca  
się) Nie możesz pan, rozumieć, straciłyś swą moc,  
bo pan tamty kochasz

Stan (z rozpaczą) Nie odpychaj mnie... ja nie mogę stać  
obojczy bez iskry nadziei, bez pociechy... Wieraj mi,  
ja jestem bardzo, bardzo nieskrępowany!

Emilia (ciszo) Jesteśmy nimi oboje.

Stanis: (śmiało, pewnie) Jam niewinny, nie jestem sto-  
rynia, jak sobie wyobrażasz. Nademną przekleń-  
stwo jakiegoś państwa... los se mną igra jak piłka  
i pruća z głaz na głaz.

Emilia: Co pan chce przetrwać powietrzu?

Stanis (z otuchą) Daj mi... ja powiem, powiem wry-  
sko, ale przyrzeknij tylko, że mi przebacysz...  
Przynajmniej zapomniałem na chwilkę o tobie, szat

mnie owtatniet i prucilem się w pauniou tauntej  
(silnie) Ale to nie moja wina, nie mógłem opano-  
wać paunistwoi, pokochatem ją... a to przecież  
nie zbrodnia!

Emilia (ucicho) Wobec sumienia pańskiego może nie, ale  
w moich oczach —

Stanis: (z zapętem) W niemych nie być nie może! Miłoci jest  
święta, jak bóstwo w niebiosach!

Emilia: Ty ja pan teraz porwana?!

Stanis: Oczywiście, że ja nie więcej od tauntej kocham, że ja nie  
wyświeca, ... uczeliska ... siwista!

Emilia: Więcej pan nas obie kochasz!... Tak, teraz poru-  
mien, wszystko porumien.

Stanis (rozpaczliwie) Ja paunia uwielbiam jak matczyńska  
istota!

Emilia (po przywieszeniu z hyponery, szluse i stanowero) Tak...  
doye! doye! jui paunia! Niech pan postucha, co  
panu powiem. Nie ualere do tych kobiet, które  
przyjmują połowierne miłoci nieprzyjmy. chaz

kochać i być kochaną, całkiem lub mi. Znowy stam-  
nek byłby dla mnie uobliwiający i nie prawdziwym go.

Tak panie, między nami wszystko skończono.

Ja pana uważam od wszystkich pańskich party-  
retek, wyprzekam się miłości, a pan... pan  
wróć do tej, która kochała mnie więcej jak mnie!

(chce odejść).

Stan. (zdrgotany) Emilia!... miłoscistria!... letosci!...

Emilia: Nie masz pan prawa patrzeć jej odemnie. Panna  
Julia pana uspokoi... i poisczy.

Stanis: Chciej mnie zrozumieć... wystuchaj do końca!  
ja się usprawiedliwis.

Emilia: Miłosci nie ma porumowania. Pańskie wyro-  
dy mogą tylko moją bolesi porwierać! Zegnam  
pana! (wychodzi)

Stanis: (chce wziąć ją w ręce, nie może, chwycę się i pada  
na fotel, gdzie siedzi przez chwilę z zakrytą twarzą  
jak skamieniały.)

Miński (wchodzi po chwili, rozgląda się) A, pan?.. prze-

praszam, myślałem, że zastanę Tu panu Eustię.  
Pani profesorowa mi mówiła, że ją tu znaję.

Czy nie była Tu?

Stan: (złamany bólem, blednięcym) Była.

Miniski: Jesteś pan bardzo słaby, panie Gorycki. Czy pan  
nie słaby, broni Bore?

Stan: (j. u.) Nie.

Miniski: Dawno już pana nie widziałem, miserniater  
pan bardzo przerażony.

Stan: (sroczko) Tak, istotnie.

Miniski: Winięci się pan poradzić lekarzy, może to po-  
waria choroba, nie walery sobie lekcewarzyć i zdrowia,  
bo to skarb nieoceniony.

Stan: (j. u.) Dziękuję.

Miniski: Pan, witaj, ma jakiegoś przystojaka, nie bądź prze-  
skadrad (oddala się, a przy drzwiach się zatrzymuje)  
Nie, nie pan przypadek, czy panna Eustia ubra-  
ła się do wyjścia, bo mielibyśmy pójść na spacer?

Stan: Nie wiem.

Ludwik (wchodzi), do Mińskiego) Przekam pana po wrych-  
kich pokojach, panie doktorze.

Miński: A ja panie, Euntie.

Ludwik: Właśnie siostra prosiła mnie, żebym pana  
posłał do niej, ma panu coś ważnego powiedzieć.

Miński (radosnie) Jestem panu do usług, przepracam  
panów (wybiega - słysza panów. Ludwik zbliża  
się do Skanis, kładzie mu rękę na ramieniu i  
patrzy mu w twarz z współczuciem)

Ludwik (mizkko) Co to się stało, Stasiu?

Stau: (wstaje i szukaając oburzeń skronie chodzi po pokojach)

Ludwik: Głowa, ciągle ta głowa jeszcze?

Stau: (wrzuca się na pierś Ludwika - boleśnie) Głowa!...  
serce!... wrystko poka we mnie!...

Ludwik: Skąd ta boleść?

Stauis: (zakrywa twarz, nie może mówić)

Ludwik: Usiądź, spocznij nieco, Skasnie w tej chwili  
wyględasz.

Stau: Och, Ludwiku, Ludwiku, zlituj się Ty nademnie,



skoro mnie ona odepchnęła!

Ludwik: Kto kłami?

Stanis: Ona, twoja siostra... Eustia!

Ludwik: Pokłócił się się?

Stanis: (z największą boleścią) W twarz mi płucę, a ja...  
ja nawet odpowiedzieć jej nie mogę, nie ośmia-  
tem!

Ludwik: Czem?

Stanis: Chciałem ją okłamać, oszukać... Tęgiem jej  
w rywe oczy... ja jej odradziłem hańcby!

Ludwik: Czybyś kochał mnie? more... more Julia?

Stanis: O, nie pytaj mnie, bo oszaleję! Ja sam nie  
wieni, czy ja ją kochał, czy nie, ja nie mówię  
w tej chwili, bo mi był piękniej rozsadza pierś,  
pre serce... jestem bliki strasliwego obłąka!

Ludwik (jak do siebie) Wisi istotnie ja... ja kochate!  
nie chciałem wierzyć, nie śmiałem przypuszczać,  
a przecież zdawało mi się —

Stanis: (wybuch) Zdawało ci się, fak, i mnie się zdawało



To. Ja jej nie kochałem, nie Kocham, nie chcę, nie  
 mogę kochać, ona mi musi być obca, siostrzana  
 w tej chwili, musi powiadać ci, choćbym miał  
 sobie serce wydrzeć z łona i stoczyć walkę z potęgą  
 miłości, która mnie wlokła do niej! (błagał  
 nie) Lubiłam, ja się pakluwam na wszystko,  
 co ci się wzięło, idź do niej, do Eustii, powiedz jej,  
 że ja ją, ja tylko, jedynie, Kocham i ubóstwiam  
 i że pręchnę na jej progu drzwi jej jak pies,  
 jeśli nie spojrzysz na mnie łaskawym okiem  
 i nie poczujesz jednem słowkiem nadziei!

Lubiłam: Biedny ty! Skates się niecierpięcy i gwałtowny, łona  
 ofiara własnego uczucia. Wypierasz się w tej  
 chwili kłamstwa drugiej miłości, ale ty Julio ty  
 Kochasz, to widac najwyraźniej.

Stau: Nie, myślisz się, ja tylko Eustia Kocham, tylko ja!  
 Lubił o to się prosić, powiedz jej, zapewnij ją, że o  
 kłamstwie zapomniatem, wykrucitem ją z serca,  
 i tylko ona, Eustia, ma do mego prawo!

Ludwik: Dobrze, powieśtrice jej mogą, ale w moich rękach sto-  
wa te nie będą miały znaczenia. Musisz ją sam za-  
pewnić.

Stau: Wisi ją, błagam w mojem jenieciu, by pokryła się sli-  
towai nadennos, przyje' tu i postuchac' kilku słow  
moich. Wypowiadam się przed nią z wrystkiego,  
otkryję jej całą głab mojej duszy, niechaj mi daruje  
tylko chwileczkę postuchania.

Ludwik: Dobrze, zachęchaj, ja ją tu poproszę. (wychodzi)

Kamis: (przygryzający się chwilę, potem wstaje i sparty o  
jakis sprzęt wywodzi słowa ratopionoy w swoim własnym  
bólu)

Eustia (wychodzi po chwili; wzruszona) Pan mi chcecie' coś po-  
wieśtrice, panie Gorycki?

Stau: (rzuca się w radozany ku niej) Panu jętes' tak dobro.

Eustia: Brat mi mówil, że sprawa pilna. Prosiłabym Fer-  
reby się pan straszerał, bo... bo mam się na spacer

Stau: (klumi ból): Ludwik panu musiał powieśtrice.

Eustia (zmięciopłoniwa): Proszę mi wprosił powieśtrice o co  
niech idzie, bo mi nie wiem.

Stan: Wzięj proszę, ja panu wresztko z najgłobszego sercecia  
wyznam, a panu mi przebaczy...

Eustia: ~~Co~~ Co takiego?

Stanis: Ja pania ubóstwiam, panno Eustio, pania jedynio.

Eustia (przerzywa) Znowu to samo! Myślałam, że ta sprawa  
sta już załatwioną między nami.

Stan: (silnie) Ja panu przysięgam, że serce moje, nie  
kłamie, nie taże!

Eustia (zwardo) Słyszysz panu do już faktem z ust pana. Jemu  
pozwoliłam, że sprawa ta uwarium za skończone.

Stan: Ale ja kawię nie Kocham, nie Kochatem!

Eustia: Chociażby, to nie panicnia stam przezy.

Stan: Ja jej niecierpie.. nieowidno, ja ja przeklinam,  
tylko raz panu spojrze na mnie z iskierką, litowci  
wotku, dai mi odrobine poczcihy, nadziei!

Eustia (z wymuszonym spokojem) Panie Goryski, pan rada  
je gwałt swemu uczuciu, to przez widoczna. Pan  
Fawto Kocha, mimo wresztko, pan ja Kocha, moze

124.

więcej niż mnie, bo jej miłość jestobuniejsza do  
pańskiej, niż moja. Wtęże teraz wyrazić, że  
suszy namistwej, burslwej nie była rado-wolnie  
najitealniejsza nawet miłości; ona prawie się  
będzie pwać i wratei, dopóki nie znajdzie siostry  
cy zupełnie sobie podobnej. Karze niecierpić  
całe to różnica naszych usposobień, które się  
nie dadzą harmonicznie pościć. Kochamy oboje,  
ale ta miłość byłaby dla nas przekleństwem, gdy-  
byśmy się kiedyś strzegli. Ja to wiem, ja to czuję.  
Więc dobrze, że tak się stało, że rzywamy. Pan  
wróć do Szwecyjny, która, kochasz, a ja - ja pua-  
dę sobie ter prorytan, w której ber, niepta, ber mi-  
łości wprawdzie, ale bezpiecznie i ich spoczę być  
mogła.

Stan. (przerzaniowy F<sub>3</sub> mowa) Emilia, co ty mówisz? Nie  
odpychaj mnie, wstrzymaj się!

Emilia (smutnie) <sup>(gwałtownie)</sup> Już zapomniało, postanowienie probitanu

Stan: To nieprawda, ty mnie zdradysz, drzeczysz tylko,  
tyś nie nie postanowita!

Eustia: Koch się pan uspokoi, panie Gorycki, pan już  
stałam przez mnie przemił!

Stan: (rozpaczliwie) Wzięłam panie jeszcze stromotnie odtręca?

Eustia: Chcę oszczędzić sobie goryczy, a więcej skiewirynii  
bolesci - dlatego oddalam panu.

Stan (głuchym głosem) Wzrytko patem, darcem... stracone...  
(Wchodzi profesor Kaszubski, za nim profesorowa i  
Minski)

Prof: A, tu jesteś Mileim? Myś~~ła~~ głowi do wyjścia, a  
tyj jeszcze nie ubrała.

Eustia: Tarar, tarar, tarar. (idzie do Minskiego i z nim  
cichym rozmawia)

Prof: (do Stan) A, i pan tu, panie Gorycki?

Stan (bertwicznie) Tak... jestem...

Prof: Czym to pan taki przygnębiony? Nie chciałbym  
pana widzieć tarar w takim złym humorze. Dzieci  
drinejory przyznają mi tyle sergicja, że pragnę  
być dookoła siebie widzieć tylko jasne twarze.

Lopia: Pan Gorycki pewnie jeszcze nie wie mi o nasrem



Stanis: Istotnie... tak... niewiem...

Prof: Jak to? (do Eustii) Pan Gorycki nie wie jeszcze?  
A może by mogła lepszego próbować, jak umiemy.  
Traci o wryptkiem? To zabawne. (do Stanis)  
No, panie, niech pan ogadnie, porównaj państwa  
bystroć.

Stan: (zakłopotany) Jakże może... niewiem... nie do-  
myślałem się...

Eustia: Mi miałam wspaniałą panu Goryckiemu powieścić,  
Ledwie napomknęłam słówkiem, kiedy tatko usł-  
szedł.

Miński: Ja panu pomogę, bo pan dziś trochę słaby. Oto  
surgicie to spotyka w pierwszym próbie mnie.

Stan: (patrzy zdziwiony; przerzucił na Mińskiego)

Lopis: Ależ uszu, powieścić jui, powieścić, rozpokój  
niekawości pana Goryckiego... przecież widział  
jaki niecierpliw.

Prof: (wskazując na Mińskiego; Eustii) Oto przesta-  
wiam panu przypadek jako naczelnym.



127.

Stanis (ostępiały) Co? .. jak? .. (padłszy drwinym weso-  
kiem na Eustis.)

Eustis (cichy) Mój przyjacielu mój:

Stan: (milczy)

Zofia: Pan nam mi pogratulujecie do tego szczęścia?

Stan: Istotnie ... przepraszam ... gratuluję.

Prof: (ściska mu rękę, śmieje się) Zdrówko się pan  
trochę, nie spotrzymacie się, że dostanie tak dristnie  
go życia. No dristkuje panu serdecznie, dristkuje.

Zofia: Dristkujemy panu. Pojutrze będzie parę godzin; pan  
jako bliski znajomy mi odmówisz nam zapewne  
swojego udziału?

Stan: (mechanicznie) Naturalnie, naturalnie (bierze  
kapelusz, do Eustis uśmiecha się) Życzę panu szczęścia,  
dowidzenia się (chce odejść)

Prof: Tak przysto pan odchodzić? Za chwilę pan, najdro-  
my razem.

Stan: <sup>o</sup> I Muszę odejść... przepraszam... uświadomienie  
(wybiega)

128.  
Prof.: Dziwny człowiek!

Zofia: Szaleńca!

Minski: Witaj, że nie wryłko w jego głowie w porządku.

Eustia (mignęła) Szaby jest dris' od samego pana, nie  
trzeba się dziwić.

Zofia: Być może, ale kto to widział w ten sposób uciekać  
Leszto, mniejsza o niego. Tę się ubrać, zaczeka  
my na ciebie.

Eustia (cichy i smutny) Już idę. (odchodzi powoli. Kurtyka)

Koniec aktu czwartego.

## AKT V.

Scena jak w akcie III.

Julia (wypiera przes okno meipokojnie; po chwili) Józefie,  
Józefie!

Józef: (wchodzi) Co pani kare?

Julia: Niech Józef sbiegnie na dół, i korytarze nie po-  
nlicy, czy pana jeszcze jwi gdzie nie widac.

Józef: Dobrze, proszę pani. (wybiega)

Julia: (wychyla się przes okno, potem chodzi nerwowo  
po pokoji - po chwili Józef wraca) Też?

Józef: (rozklada ręce) Jak nie widac, tak nie widac!

Julia (jak do siebie) Gdzie on mógł pójść?

Józef: Witac, moze z wizyta.

Julia: Ale gdzieby tak długo bawit. I nie Józefowi  
nie mówit, kiedy wychodit. Moze Józef nie  
slyszac tylko.

Józef: Ale skąd znów. Właśnie miałem wchodzić do  
pokoji, kiedy się spotkać z panem. Wychodit,  
że go ledwie slychai było.

Julia: (jak do siebie) Gdzie on mógł pojsi, gdzie on mógł pojsi.<sup>2</sup>

Józef: Pan wygłupiał dris, jakby był trochę chory, może poszedł do lekarza.

Julia: Nie bawilby tak długo. Musiał kogoś spotkać!

Józef: A to by, może. Na pewno gdzieś wstąpił przez.

Julia (chodzi niepokojna po pokoju i mówi jakby przez sen niewyraźnie): Emilia... Emilia...

Józef: Co proszę pani?

Julia: Nic

Józef: Może bym poszedł do któregoś z majowych naszego pana, może go gdzieś zastać?

Julia: Niestety nie mam żadnego adresu.

Józef: Gdzie ten pan mieszka, co tu był dris'pano, wiecie, bom tam czasem chodził.

Julia: Pan Ludwik?

Józef: A jakże.

Julia: I póci tam Józef chodził.<sup>2</sup>

Józef: A uiecar, mnio pan jospytad do panienki z lista  
mi.

Julia: Czego?

Józef: Co kilka dni.

Julia: Nie wie Józef, jak tej panienki na jini? Nie Emilia?

Józef: Tak mi się zdaje, Emilia, Emilia.

Julia: Ostatnia panna?

Józef: Fi-fi... i jak! Prawdziwe malowanie!

Julia: A pan nasz czego tam bywał?

Józef: Codziennie prawie. Podobno uczył panienkę  
malować.

Julia: Czy Józef to wie z pewnością, czy się tylko domyśla?

Józef: Ano domyślam się, bo to czasem nositem tam  
obrazy naszego pana i panienka się im przypo-  
trawiała i tak się radowała, jak dziecko nieprzy-  
miernajże, kiedy zobaczy coś.

Julia (<sup>mechanicznie</sup> zamysłowa) Wzię tam bywał?

Józef: A jakże. Mogę tam postać się, jak panu chce.

Julia: Nie, nie, nie chce. Niech Józef tam nie idzie.

(~~Siada na fotel z westchnieniem, skłata ręce na powrocy fotela i opiera na nich głowę. Józef stoi chwilę nieporadny, w końcu wychodzi~~)

Górski (wpada po chwili głoso)

Julia (zrywa się wzdławana) Przyjdźcie wreszcie!

Górski (trochę zmieszany) Pani? ... przepraszam, wystąpiłem, przez zastatek Stawka samego.

Julia: A ja myślałam, że to on wchodzi i tak się mnie szyla.

Górski: To nicina go w domu?

Julia: Nicina od trzech godzin. Wyprost pdenierwowa, ny, niespokojny jakiś i dotąd go nie widzi. Leżę kam się bardzo o niego.

Górski (siniato) O, zdaje się, że zupełnie pbyterne, panowie może być pewno, że mu się nie udało. Przyjrzę się, że pani sobie mnie przypomniała? Jestem Górski. Kiedy pani pierwszy raz odwi. Dział Stawka, byłem tu z Kilkoma znajomymi.

Julia: Pamiętam, przypomniałam sobie pana.



Gorski: To dobre, odpadna wrystkie glupie formal-  
ności przeciwko porzuceniu i więcej się trakt-  
wać jak stary przyjaciel.

Julia: Toworem, oworem.

Gorski: (rozglądając się) Lubicznie się tu bardzo, przybyło,  
przybyło.

Julia: Istotnie zmiany nastąpiły.

Gorski (spostreżona zakryta sztalgami) A prawda, ta  
kuchnia czy już gotowa?

Julia (zaniepokojona) Jak to pan porównuje?

Gorski: Niby ta Lais?

Julia (pociągając się) Jeszcze nie rozpętała.

Gorski (pochylił się ku sztalgom, podnosi płótno, które-  
ś zakryte) A to co?! ledwie parę... kilka  
po pociągnięciu! (do Julii) Cóż, są u licha przes-  
ten rany wrażliwe. A (ety) A więcej go  
się kryje pioruny!...

Julia (nieśmiało) Miał mnie razić.

Gorski (zważony) Jak to, mnie? Czy było coś pilnie przego-

134.  
ostęgo? Zbrakował czegoś czy co!... Tyłsiemy na Ten  
obraz liczyli... byłobyjmy stawali na piętych nogach,  
a tu masz babo! Z wystawą moim się poręgnac,  
Djabli ja już wzięli!

Emilia: Kiedy doprawdy nie mógł.

Górski: E, co mi panu głowę prawca. Gdyby chciał  
tylko, mógłby z pewnością; ja go znam, znam  
jego zdolności i energię. Jak się pobicie na serce  
do pracy, to robi, że aż portkowi patrzy. Już  
dawno powinności szukał powrocie w nam  
ale co? Wszętko słępe i głupie narokół i zna  
się na sztuce, jak krowa na psery!... Ja  
wiesz, co Tenm lenistwa winne. Ta Milka  
Kasrubka musiała go do pracy ogłupić!

Julia (wylekniona) Kto prosi?

Górski: A która? Dziewka! Lawro to musi wleźć chto-  
wielkowi w drogę i przepchnąć, że potem ani sam  
djabel z błota nie wypięgnie!

Julia (siłą się na energię) Pan kobiety sądzi faktorynie.

Górski (zrostko) Nie wyszaleu z palca! A pani co tu  
o niego robi, skoro nie małuje?

Julia (zakłopotana) Ja... ja tu mieszkaam.

Górski: Co? pani? ... Kochacie się?

Julia (nieporadnie) Czy niewolno?

Górski (łagodnie) Wolno, pytam się tylko.

Julia: A gdyby?

Górski (zdrwiwony) <sup>jak do siebie</sup> Co on w takim razie probił z Milka?

Dwoch na kar chęba mi pieści. Nie porumiew te  
go doprawdy, żeby była ciekawa historia.

Julia (coś bardziej zakłopotana) Ja tamtej pani wiele  
nie znam.

Górski: Ładna dziewczyna, no, ale i pani ma wpa-  
niałe kostatki, jak Baga Kocham! Paszek ma  
przynajmniej dobry gust!

Julia (j. w.) Pani Górski!

Górski: Mówię co myślę. No i to pani mu tak rze-  
pwiształa, że ani pusz do pracy?

Julia: Przeciwnie, ja go zachęcaam. Dżis' dopiero prosi!

Tam go, żeby się zabrat do pracy.

Górski: Pewnieście już dosyć wylej nitosci, czas by już był. Jakże spędza swe junciminy?

Julia: Powiadam panu, że jest trochę słaby, i wyśrodek gdrześ, niewiadomo gdrze. Jestem także o niego niepokojna.

Górski: Głupstwo, nie umnie będzie, choć zdawać jak ryba rawora.

Julia: Ale Driniaj... nie wiem, z mam jakies' ste przeżucie.

Górski: Czy był tu już kto u mego?

Julia: Pan Ludwik, ale nie wyszli razem, stał wyśrodek północy, po cichu, bez mojej wiedzy...

Górski: No, nie będzie się przecier. Flomacryt & Kardego kroku, który ma zrobić.

Julia: Tak... ale jego niepokój. Mógł go jeszcze w takim stanie nie widziałam. Ja się bardzo o niego lekam i chiałam nawet pójść go poszukać.

Górski: Górski go panu szukać będzie, kiedy panu ukwie,

gdzie poszedł. Głupstwo, chodźcie gdzieś pa mimi!

Julia: Przeszłabym kilka ulic, może bym go gdzieś spotkała.

Górski: Daremnie tarzenie! Zresztą jesti panu to przyjeżdżają mnosi sprawy!

Julia: Myślę, że to będzie najładniej (wskłada kapelusz)

Górski: Niech panu idzie, ja tu pacerkam, daję się dziś nachodzić. Tylko niech panu dłużej nie bawi, bo on może tymczasem nadzieję!

Julia: Wzrois najdalej za pół godziny. Do widzenia, pa.  
[wychodzi]

Górski: (rozgląda się, kręci głowę, po chwili wsta) Hm, hm, drwinie się plecie, na tym bożym świecie (ramyła się - wsta) Józefie, Wojciechu, Macieju, czy jak tam do licha!

Józef (wchodzi i kłania się) Co panu potrzebne?

Górski: Józef ci, czy jak, bo jwi pa pomniatem?

Józef: Józef, do usług wielmożnego pana.

Górski: A pal się licha z wielmożnym! Słuchajno, cóż to



się u was probito w tych ostatnich czasach? Diabła  
widzę, dom wam przewrócił do góry nogami?

Józef: I przepraszam, jak to wielomórny pan rozumie?

Górski: Jak rozumie? Ano tak, że się tu duro pamieni-  
to, przybyła wam pani...

Józef: A tak proszę pana, jest pani i to dobra pani.

Górski: I ładna, co?

Józef: Ano i ładna.

Górski: Kochają się bardzo?

Józef (śmieje się) He, he!

Górski: Słuchaj no Józefie, bywa Twój pan jeszcze u pa-  
na Lubwika?

Józef: A skąd ja mogę wiedzieć? Mnie to jura nie posyła do  
panienki.

Górski: Tak?..aha! (zamyśla się) Rozumieć, rozumieć,  
możesz sobie iść (Józef wychodzi, Górski przechadza  
się po pokoju)

Wótek (po chwili ra drzwiami jeszcze) Kto wie, czy będzie



W domu (wchodzi z Ciernińskimi) Serwus Górski!

Cierniński: Serwus, sam jesteś?

Górski (otwiera tylko głowę) A sam.

Wolek: Pewnie ci miutno, kobieta byłoby ci przyjemniej,  
he... he...

Górski (sroczko, niechętnie) I bez ciebie.

Cierniński: Niema Staska?

Górski: Precież widzieli.

Wolek: Ale nadzieje chyba sąkar?

Górski: A wiecie i nadzieje. Witacie się gusty cis jego  
miejscu.

Wolek: Jak to się gusty, he... he...?

Górski: Przerwały miesiąc i półtem tu, w waszu mie ra-  
gladność, a jak się zdarza sposobność napie się,  
rzej się, słatujecie się jak krukki.

Wolek: Obraraw mnie tem przypuszczeniem. Zresztą  
jocór ja tu miatem być?

Górski: Tybyś i tak mi nie zrobił, ale mi, choćby Cierniński.

Cierniu: Mnie sprowadza właśnie niekłamowci' ogłupnie-  
cia Laidy.

Górski: Masz, oglądaj kryte płótno!

Cierniu: Jak to?

Górski: A tak to!

Cierniu: No, fratersy sobie postaw.

Górski: Przemawiam twój wlasny jerybkiem.

Cierniu: Głupstwo ci parło w głowę.

Górski (wybuchając) A was od porzeczia w tonie matki  
opuszcic nieches! Jesteście nie tylko głupcami,  
ale co gorzej, łajdakami! Ławiasz probie' co  
się walery, walsaja się pokusajkach i postłuchu-  
ją ludki, żeby za mimi fratersy postarraci. Prer-  
caty mnieją siebrieliwie w miemie, żeby to  
który raz chorici paglądunat, i prrypatryd się,  
co się tu dzieje... A niechre was jiri raz djabli  
porunę z Fakra prryjarnie i ustosicis sztulki!...

Wotek: Czy się tu co stało?

Górski: Wzię stopy jesteś, czy co?! Szarek pamiętał mało

wai, kocha się na rabój w swej miedle, a sztuka  
 djabli ponieśli!

Cierni: To istotnie ple, to ogromna strata dla nas.

Górski: Dla ciebie, jak dla ciebie, ale sztuka, prawdziwa  
 sztuka! Tak djabli kochanie, nie biorę mu tego  
 już za ple, bo ostatecznie może się ustawić  
 zdaryci, a przecież wieweryna tawna, ale żeby  
 dlatego już robotę puszczać, i to tak nagły - tego  
 to nierozumie!

Wótek: Młot! To wielka rzecz, mój kochany.

Górski: Wielka, ale sztuka większa! Tamta dla jedne-  
 go, ta dla świata!

Wótek: Widać, że się jeszcze nigdy nie kochał, to... ha...

Górski: Niech piorun strasnie kochanie, jeśli do tego  
 prowadzi!

Cierni: Ta pewnie, że kto raz oddał się sztuce, nie powi-  
 men jej ani na krok odstępuje!

Stanis. (wpada) Juliu!

Górski: Masz go, pierwsze słowo; Juliu!

Stan (nerwowo) Jak się masz? (zagłębia do drugiego poką-  
zi) Nie ma tu mojej...

Górski (z uśmiechem, ironicznie) Twojej Dulcynei? A u ciebie  
poszła szukać swego ukochanego, który od trzech  
godzin górci się w łóżku po mieście.

Stanis: Poszła, więc szuka? (shee wyprzed)

Górski: Czekaj, czekaj, zaraz wróci.

Stanis: Powiedziała?

Górski: A jakże.

Ciernie: Nawet się nie przywitała z nim?

Stanis: Dzień dobry, dzień dobry, z apomniatem (zobacz)

Wolek: Wszakże ta miłość, wiina, prawda ho...ho...

Górski: Gdzieś był tak długo, że się aż niepokoję o ciebie?

Stanis: Gdzie? ... (waha się) Ano u Fudwicka.

Górski: Coś tam u niego słychać?

Stan (wymijająco, patrzy na drzwi) Nic godnego uwagi.

Ciernie: Jak to? Nie wiesz, że panna Emilia wychodzi za  
docenta Minickiego?

Stan: (z wymuszonym obojętnością) Skąd wiesz?

143.

Ciermin: Spotkalem iŕac tu Mińskiego, zwierył mi się.

Górski: Tak? ... che... (patrzy bystro na Stau) A cóż ty na to? Nie wiedziales' o tem?

Stau: (j. u.) Tak... wiem, wiedziałem.

Górski: I tak obojętnie to przypinujesz? Ciep się spodnie wad tego?

Stau: A co mnie to obchodzi, przez pycrajna.

Górski: A prawda, masz teraz juno.

Stau: (naciskając wargi) Cześć, mnie nabickas'?

Górski: Bynajmniej.

Stau: Wzięj coś z ten ten sarkastyeruy? Miłosci mi chyba nie wbronisz.

Ciermin: Nie zabraniauy, tylko trzeba było ter Froche myśleć o pracy, bo ona wyżej stoi od miłosci.

Stau: (zły.) Mam swoje zdanie o tem, twego nie potrzebuje!

Górski (z naciskiem) No tak... prawda... ale przykre czasu...

Stau: Dobrowolnie się podjąłem.



Górski: Wszystko jedno.

Stanis: Zobowiązanie przyjętem wobec siebie samego i jeśli rzeczywiście jest, wzięciu na Termini. Jestem panem swej woli.

Wolek: Nieprawdnie, nieprawdnie, karę mi jest, he... he...

Górski: Kobieta ni ja skrepowata; nie postępujesz, jakbyś chciał i powinien.

Stanis: To praca moja, nie macie prawa wtrącać się do moich spraw!

Górski: No tak, tak, Fylko...

Stan: Tu nicma żadnego: Fylko! Kocham i robię co mi się podoba a wam od tego wada!

Górski (z przekąsem) Coś będzie, z wystawą? Posyłam na nią Listę? (bije palcami po stole)

Stan: Nie mi posyłam i nie chce posłać. Szukaj mi teraz pupetnie obca.

Górski (patrzy na Stan. z zalem i politowaniem)

Ciermi: Pomyśl, co to za strata dla społeczeństwa.



Stanis: Ono mnie w tej chwili nie ma obchodzić. Wprawił  
mnie na oko własne sergicie, a perka... perka  
mi jest obojętna!

Górski (wstaje) No no, widzę, że ty jura dla nas straco-  
my, ratuję cię mocno.

Stan: Nie potrzebuję wsparcia Twojego. Czuje się te-  
raz szczęśliwszym niż kiedykolwiek.

Górski (ze smutkiem, zblizając się ku drzwiom) Obyś  
mi pozostał <sup>na</sup> prawce. Bądź zdrow!

Wódek: Załączaj i my idziemy. Dawidzenia się.

Ciermii: Serous.

Stanis: Idzie, idzie, nie trzymam was wcale; mi-  
łoci mi drzwiśca nadewszystko! (wychodzi; w tej  
chwili wchodzi Julia; Stan. się prusa ku niej)  
Prawda, że ty mi dasz najwzysze sergicie, Julen-  
ko?

Julia: Jakis ty niedobry, tak się o ciebie lekotałam.

Stan (obejmuje ją i przytiska do piersi) Nie boj się jura,  
jestem Twój, niepodzielnie, z duszą i ciałem!

Julia: Czyż nie byłes' nim od początku?

Stanis: Nie pytaj się o to. Jestem nim teraz i pozostać  
na zawsze, przez życie całe!

Julia: Przyznaj, że kochales'...

Stanis: <sup>(prawy)</sup> Nie, nie kochałem jej, to było straszliwe płuśne  
nie! Byłem z nią związany jakimś dziwnym  
urokiem, który jednak przysł' jej na serginię,  
jak bańka mydlana. Przebac mi, żeś dotychczas  
na chwilę powrócił, żeś nie pokonał tej  
tajemniczej siły, która mnie ~~dotychczas~~ więzi  
ła. To się już nigdy, nigdy nie powtórzy!

Julia: Byłes' teraz u siostry Ludwika?

Stanis: Byłem i dobrze nawet, że byłem, boś się wyple-  
czył. Żebyś ty wiedziała, jakie ja miśki prawi-  
łem z powodu tej podwójnej miłości! Kocha-  
łem siebie całą siłą namiętności, miłości uw-  
ża ku Tobie była wściekłym jakimś szatanem, że  
ściskając ciebie zdawało mi się, żeś rapadam  
z portkora, w bezdenną głębi smutczającego duszy

147.  
i pomyśły upojenia!... Ale, czasami, czasami po-  
kazywałę mi się poderas tych prawotnych spo-  
sów ona, jej oczy, drwinie błyskerque jej oczy,  
i wtedy stawato mi się jakos tak niedobre, jak-  
bym się wiał pod uderwładniającę potęga cra-  
rodziejkiego wroku!... (z ulgę) Ale dzieś to  
juz przessto, moja droga, nie lekaj się, bo to  
juz minęto perpowrotnie. Nie wróć juz do niej.

Julia: Przymrekar mi to?

Stanis: To pbyterne. Nie wróć, bo juz wrócić nie mogę.  
Ona juz dla mnie zupełnie obojętna, obca—ona  
juz w cudzych rękach. Ona też nie była dla  
mnie! Mnie trzeba duszy, jak twojej, pełnej  
karmu, którego płomienie wgrypają się w pierś  
moją, jako ja i popioła—mnie trzeba Twoego  
gorącego, różowego ciata, które porieram  
całą potęgę niewasyconej porządliwości swojej.  
(wpija swe usta namiętne w jej ciato).

Julia: (namiętne) Stachu, mój drogi Stachu!

Stanis: Przebaczasz mi?

Julia: O tak, zupełnie, bo mnie Kochasz!

Stanis: Kocham, Kocham jak nigdy, i nie przestane  
nigdy cię Kochać!

Julia: I pójdziesz razem zwrócić się?

Stan: Tak jest, pójdziesz!

Julia: Przysięgasz?

Stanis: Przysięgam!

Julia: A spełnisz jedną moją prośbę?

Stanis: Sto... tysiąc... kart!

Julia: Wierzę słub.

Stan: Dobrze, sta światła to prośbie, bo sta nas chyba  
nie trzeba. Uczyń, bo ty tego pragniesz.

Julia: A druga, przez spełnienie?

Stan: Mów, mów przedziej!

Julia: Zabiczresz się do pracy?

Stanis: Teraz nie mogę.

Julia: Proszę widzieć, że wszyscy wyrzucają ci zarzeka  
nie pracy.

Stanis: Ordanie ich mielibam. Teraz dopiero czuję się zupełnie szczęśliwym i pragnę wrywać postkonny motocykl całym ogromem swej duszy. 'Nie bój mi tego, to mi się należy, ja tego komuś potrzebuję.' Potem, potem coś innego.

Julia: Przyrzekam więc, że wkrótce wrócisz do pracy?

Stanis: Nie przyrzekam, bo być musi. Szalona Klaudia jest drugim życiem i bez niej się nie obejść. Ona jest drugą połową mego jestestwa, jak ty pierwszą: na kartę musi przysięść kolej. Ale teraz jestem tylko twój i o niczym innym myśleć nie chcę! (całuje ją)

Julia: A twój przyjaciel?

Stanis: Dobrze, żeś mi przypomniała. Trzeba jeszcze wyjechać do Monachium.

Julia: A ślub wasz?

Stanis: Również w Monachium. (całuje ją. Kurtyana)

Koniec aktu piątego





Ms 678



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

**Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.**

**Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.**

**All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.**